

Konspirator i powstaniec wielkopolski

Józef Benedykt Lipiński w latach 1845 -1848

Opracował: prof. dr hab. inż. Marian Józef Lipiński

Słowo wstępne

Jestem praprawnukiem Józefa Benedykta Lipińskiego, który na początku lat czterdziestych XIX w. mocno zaangażował się w Wielkopolsce w antypruską działalność konspiracyjną, mającą na celu wzniesienie powstania i odbudowę Polski. Zakończyło się to fatalnie wyrokiem sądu w Berlinie. Źródłem szczegółowych informacji o tej działalności i wynikających zeń rodzinnych kłopotach jest wydana pośmiertnie jego autobiograficzna publikacja pt. „*Jak śp. Józef Lipiński w r. 1846-tym uciekł z fortecy i znów schwytyany został*”. Obejmuje ona okres od jesieni 1845 do połowy 1848 r. Czas sprawia, że wspomnieniowa książka mego Pradziada staje się coraz trudniej dostępna. Wiem o istnieniu już tylko jednego, mocno sfatygowanego egzemplarza, który ma biblioteka uniwersytecka UAM w Poznaniu. Widziałem zatem potrzebę zamieszczenia kopii publikacji mego Pradka w wirtualnej przestrzeni. Być może jako autentyczne źródło historyczne zainteresuje ona kogoś, a przy okazji utrwali się jej czytelniczy żywot.

Wielkopolanie, będąc pod zaborem pruskim, czterokrotnie zrywali się do czynów powstańczych. Pierwsze powstanie zaczęło się w sierpniu 1794 r., dzięki czemu Prusacy odstąpili od oblężenia Warszawy, a ich działania przeciw insurekcji kościuszkowskiej zostały zablokowane. Powstanie upadło w listopadzie wraz z klęską insurekcji. Drugie powstanie wybuchło jesienią 1806 r. i przyczyniło się do utworzenia Księstwa Warszawskiego. Czterdzieści lat później Prusacy rozbili przygotowania konspiracyjne do kolejnego powstania. Aresztowano blisko 300 osób, w tym mego pradziada - Józefa Benedykta Lipińskiego. Cios ten nie wygasił wysokiego morale Poznaniaków. Działania zbrojne podjęli zaraz po rewolucji w Berlinie w marcu 1848 r. Niestety już w maju 1848 trzeba było podpisać kapitulację. Wielkopolanie szybko ochłonęli i w odpowiedzi zaczęli skutecznie konkurować ekonomicznie z Niemcami, co w perspektywie kolejnych lat zaborów umocniło potencjał materialny i ducha patriotycznego Polaków. Wielkopolanie w 1918 roku ponownie ruszyli zbrojnie, tym razem już do czwartego powstania, które zakończyło się zwycięsko. Polska odzyskała niepodległość. W powstaniu tym walczyli mój dziad ze strony matki, Stanisław Ginther oraz wtedy zaledwie nastolatek, ojciec mojej żony Danuty - Antoni Zink.

Autor poniższej książki, Józef Benedykt Lipiński herbu Strzała urodził się w 1808 r. w podpoznańskiej wsi Zawady. Herb Strzała jest odmianą herbu Liniewski, czyli Przyjaciół Odmienny. Był synem Lipińskich, też Józefa i Heleny z Bibrowiczów, którzy pobrali się w 1801 r. Prawdopodobnymi źródłami utrzymania małżonków były albo stawy rybne na Zawadach, skąd pochodziła Helena, a po których ślady są jeszcze zachowane, albo Józef i Helena, mający dom na Chwaliszewie (nr 42), rybaczyli na Warcie. W latach 1802 – 1819 rodziły im się dzieci. Mój przodek - Józef Benedykt miał sześcioro rodzeństwa (Anzelma, Agnieszkę, Franciszka, Mariannę, Marcelego i Stanisława). Wszystkie dzieci ochrzczono w kościele Św. Małgorzaty na pobliskiej Śródce. Całkowicie nieznane są mi losy Anzelma, Franciszka i Stanisława. O pozostałych sporo wiem. Józef

Benedykt ożenił się z Matyldą z Suppertów. Mieli dzieci: córkę, też Matyldę i chłopców Józefa, Stanisława i wcześniej zmarłego Władysława. Rodziny założyli również Marceli i Marianna. Marceli poślubił wdowę Franciszkę Lesznerową, a Marianna wyszła za mąż za Wojciecha Margowskiego. Ich synem był ceniony architekt Bolesław Margowski, którego córki przez zamążpójścia weszły do znanych poznańskich rodzin: Krysiewiczów (Maria Wanda), Międzychodzkich, po owdowieniu Pasztalskich (Stanisława Leokadia), Wendlandów (Zofia), Chrzanowskich (Klementyna Helena) i Kniatów (Aniela Celina).

Józef Benedykt Lipiński opisał swe powstańcze losy zaczynając od dnia 5 listopada 1845 r., czyli momentu zatrzymania go przez pruską policję. W poznańskim areszcie trzymał się mocno i nie dawał się złamać. Zaproponowano mu współpracę za niebagatelną wtedy sumę 12 tys. talarów i bezpieczny wyjazd z rodziną do Brandenburgii. Odmówił i 12 grudnia 1845 r. przeniesiono go do fortecy – reduuty nr 4 *Kernwerku* (fortu artyleryjskiego poznańskiej Cytadeli – największego, jaki kiedykolwiek wzniesiono w Europie i w którego budowie miał swój udział). Strategicznym celem fortyfikowania Poznania było zaryglowanie ewentualnego natarcia wojsk rosyjskich na Berlin. W reducie więziono go ponad rok, oprócz krótkiej przerwy, spowodowanej ucieczką z twierdzy wraz z paroma towarzyszami, co szczegółowo opisał w swej książce. 4 lutego 1847 r. trafił do więzienia w berlińskim Moabicie, gdzie oczekiwał na proces.

Proces w Berlinie ruszył 2 sierpnia 1847 r. Przewodniczył Koch, oskarżał Wentzel. 254 oskarżonych broniło 20 adwokatów. Wśród „obwinionych”, jak pisano, oprócz Józefa Benedykta Lipińskiego byli jego brat Marceli i wuj, ks. dziekan Bernard Bibrowicz, (przez kilka lat profesor Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego). Po trzech i pół miesiącach procesu, na 66. posiedzeniu (14 listopada 1847 r.), przed sądem stanął Józef Benedykt Lipiński. Lipiński niezłomnie, twardo nie przyznawał się do winy, choć zeznania innych wskazywały na istotną jego rolę w konspiracyjnym przygotowywaniu powstania. Szczegółowe sprawozdania z przebiegu całego procesu były na bieżąco, propagandowo relacjonowane każdego dnia w „Gazecie Wielkiego Xięstwa Poznańskiego”. Są tam zeznania świadków, oskarżonych, mowy oskarżycieli i obrońców. 2 grudnia 1847 r. sąd w Moabicie ogłosił wyroki: 64 osoby zostały skazane za zdradę kraju pierwszej klasy, w tym 11 osób na kary śmierci, pozostali na wieloletnie uwięzienie od 15 lat do dożywocia. Wobec Lipińskiego za to, że jak zawarto w sentencji wyroku, *wiedział o przedsięwzięciu zdrady kraju i nie doniósł o tym*, zapadł wyrok: *utrata kokardy* i 8 lat *cuchthausu*, czyli domu poprawy. Kilka dni później żonie Matyldzie Lipińskiej udało się przez asesora Hercberga przesłać do Berlina dokumenty potwierdzające szlachectwo męża. Trafił więc do wieży, gdzie warunki więzienne były znośniejsze. Krewni J.B. Lipińskiego – brat Marceli i wuj Bibrowicz – zostali uniewinnieni. W marcu 1848 r. wybuchła w Berlinie rewolucja i 20 marca tłum uwolnił więźniów politycznych z Moabitu. Została ogłoszona amnestia. Józef Benedykt Lipiński 22 marca 1848 r. wrócił do Poznania. Parę miesięcy później ponownie podjął pracę zawodową. W książkach adresowych Poznania wymieniany jest jako ślusarz (*Schlosseremeister*) lub budowniczy maszyn, między innymi rolniczych (*Maschinenbauer*). W miejscowych starych dziennikach można zauważyć reklamy jego sklepów „Handel Żelaza Józefa Lipińskiego”. Jeden z nich działał przy dzisiejszej ul. Paderewskiego, tuż obok Bazaru. Podczas pobytu Józefa Benedykta w areszcie i więzieniu pozostała w Poznaniu rodzina uzyskała wsparcie finansowe ze strony Towarzystwa Naukowej Pomocy im. Karola Marcinkowskiego. Synom Stanisławowi i Józefowi przyznano stypendia po 31,15 talarów miesięcznie. Odbierali je w Gimnazjum Św. Marii Magdaleny przez trzy lata szkolne od 1846/47 do 1848/49. Stanisław (mój pradziad) wyjechał później do Galicji, gdzie pracował jako inżynier kolejowy, zaś Józef został wielkopolskim księdzem. Zmarł w Śremie w wieku zaledwie 31 lat. Spoczął przy farnym murze. Stoi

tam jego granitowy nagrobek, utrzymany w doskonałym stanie. Po I wojnie światowej syn Stanisława, mój dziadek, urzędnik kolejowy Stefan wraz z rodziną został przeniesiony na byłe tereny zaboru pruskiego, by w końcu trafić do Poznania i zamieszkać na ulicy Niegolewskich, gdzie przyszedłem na świat.

Udane małżeństwo Lipińskich trwało aż do śmierci Matyldy, która nastąpiła 15 grudnia 1889 r. Wcześniej małżonkowie mieli szczęście uroczyste w Farze świętować swe Złote Gody, co odnotowano w prasie poznańskiej. Matylda Lipińska została pochowana na Wzgórzu św. Wojciecha w Poznaniu. Jej grób na Cmentarzu Zasłużonych Wielkopolan jest skatalogowany. Zachowała się do dzisiaj żeliwna tablica grobowa, ostatnio odrestaurowana przez Miasto dzięki Towarzystwu Miłośników Miasta Poznania. Osamotnionego, sędziwego wdowca zabrała wkrótce do siebie córka Matylda Neumannowa do Galicji. Pod koniec życia postanowił opublikować swe konspiracyjne wspomnienia. Książka ukazała się już po jego śmierci. Zmarł u córki w Niepołokowcach na Bukowinie 12 kwietnia 1890 r. i tam pewnie go pochowano. Staraniem córki stosowny nekrolog znalazł się w wielkopolskiej prasie.

Nie wiem, czy zachowała się gdzieś jakaś podobizna lub fotografia mego Antenata. Według Bolesława Limanowskiego, o czym napisał w „*Historji ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 roku*” J.B. Lipiński był wysmukłej postaci, chudy i bez zarostu, młodzieńczej świeżości twarzy, włosów ciemnych i krótkich. W latach 1979-1981 Jerzy Sztwiertnia wyreżyserował telewizyjny serial fabularny w 13 odcinkach p.t. „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy”. W 4. odcinku zatytułowanym „Bazar czy rewolucja” pojawił się Józef Benedykt Lipiński. W Jego postać wcielił się krakowski aktor Andrzej Mrowiec.

Dzisiaj w berlińskim Moabickim więzieniu już nie ma, choć nienaruszone przetrwało II Wojnę Światową. Pod jej koniec uwięziono tu osoby związane z zamachem na Hitlera, którego nieudaną próbę podjął osobiście płk Claus Schenk von Stauffenberg w Wilczym Szańcu, za co został stracony. Po wojnie korzystali z Moabitu alianci. Więzienie rozebrano w 1957 r. Od 2016 r. jest tam „Park historyczny byłego więzienia Moabit” (*Geschichtspark ehemaliges Zellengefängnis Moabit*). Jego widok przedstawia poniższa fotografia, wykonana wiosną 2018 r. przez praprapraprawnuka Józefa Benedykta Lipińskiego – Rafała Michała Lipińskiego.



Ślady po więzieniu moabickim w Berlinie.

Wyjaśnienia przed rozpoczęciem lektury:

1. W tekście książki mojego Prapradziada, pojawiają się kilkakrotnie inicjały „Dr. N.”. Chodzi o współwzięnia, Władysława Maurycego Niegolewskiego h. Grzymała (1819-1885), doktora praw uniwersytetu w Bonn, osobę niezwykle zasłużoną dla Poznania i Wielkopolski.
2. Informacje podawane przez J.B. Lipińskiego można skonfrontować z danymi przytaczanymi przez Stanisława Karwowskiego w obszernej monografii (589 str.), p.t: „Historia Wielkiego Księstwa Poznańskiego. T.1. 1815-1852, WBC. Nie ma w nich rozbieżności, choć dziwne jest, że mój Antenat pominął dość istotny fakt odnotowany przez Karwowskiego, że został ranny podczas bitwy pod Miłosławiem (30.04.1848).

JAK
62^o.

JÓZEF LIPSKI

W r. 1846tym

uciekł z fortecy i znów schwytany został.

Rzecz

przez niego samego opisana.

W POZNANIU.

NAKŁADEM L. RZEPECKIEGO Fil. Dra.

Czcionkami W. Simona.

1892.

Było to dnia 8go Listopada 1845go roku, jak się zjawiła u mnie policyja i żandar- mi rano po godzinie pół do ósmej. Wiedzia- łem o tém, ponieważ bratowa moja doniosła mi, iż brat mój Marcelli był aresztowany, Na czele policyji był komisarz Hausfelder. Obstąpili mieszkanie moje na Gołębiój uli- cy Nr. 5 i remizę na Szkólnój ulicy.

Właśnie z pracowni udałem się do re- mizy i zamknąwszy bramę, kazałem memu sto- larczykowi przerzynać na pół drażki 7 stóp długości z jesionowego drzewa. Zapukano do bramy; wyjrzałem oknem i z drugiego piętra zobaczyłem policyją i żandarmów i pytam, cze- go chcą.

Żądał komisarz, abym otworzył.

Zeszedłem na dół i otworzyłem.

Tu wszczęto rewizyją, pomiędzy machi- nami, na dole, na piérwszém piętrze i na drugiem. Na kozłach było parę set draż- ków, które w oczach komisarza Kwieciń- ski stolarz przerzynał. Nie pytają się, co to jest, nie odpowiadałem także.

Ztąd udaliśmy się do mego mieszkania i pracowni, i zaczęto rewizyją. P. Hausfelder spisał protokół, który podpisałem, nie zna- leźli ani źdźbła, coby mnie kompromito-

Józef Lipiński.

wać mogło, i poszedł do prezydenta policyji, znanego p. Minutolego, zdając raport, zawsze pozostawiając policyją niedaleko mego mieszkania.

Po upływie godziny przysłała prezydent, abym przyszedł do niego, nota bene podczas niebytności policyji.

W tym czasie pożegnałem się z żoną i memi trojgiem dziećmi, bo przeczuwałem, że mnie już nie puszczą.

Poszedłem więc do kancelaryji tegoż pana. Proszono mnie, abym usiadł, lecz p. prezydenta ani widnąć. Po 12tój w południe przyszedł p. komisarz Kliem i wezwał mnie, abym się za nim udał, i zaprowadził mnie na drugie piętro do pokoju, w którym okienko wychodziło na teatr.

Wtenczas żona, widząc że nie wracam, udała się do prezydenta z zapytaniem, co się ma znaczyć, że mąż nie wraca. Prezydent odpowiedział, że mąż ma pomieszkanie wygodne, gdyż obwiniony o przestępstwo polityczne.

Żona odpowiedziała, że jeżeli go arestują, to przynajmniej nie za żadną zbrodnią.....

Zniewoliła go, że pozwolił jej się ze mną widywać i obiad mi z domu przysełać. Lecz drugiego dnia oznajmił méj żonie, że może się zaś we fronście ze mną widywać.

Tu znowu odpowiedziała, że nie tacy jak mój mąż, lecz jak.....

Dnia trzeciego po mém uwięzieniu.

miałem być odprowadzony do frontu. Sekretarz pewien z policyji powiedział méj żonie, że mnie o 10tej rano odprowadzą. Wiedząc o tém, czekała koło teatru, od strony placu, aby jój z policyji nie widziano, i kiedy szedłem z żandarmem, moja żona przystępuje i bierze mnie pod rękę i razem idziemy. Żandarm żądał, aby żona odeszła, lecz nic nie pomogło i oboje stanęliśmy w pokoju śp. inspektora Lozereca. Tu się pożegnała ze mną żona i poszła, a mnie osadzono na piérwszém piętrze, w pokoju środkowym; okno wychodziło na odwach Frydrychowski.

Protokółów dotąd żadnych nie składałem, jak tylko jeden przed assesorem Ewilerem, który mię, t. j. przy sekretarzu policyji, p. Hajerze, zapytał o rozmaite rzeczy, toż samo, że miałem robić kosy.

Odpowiedziałem, że prawda. O jak się ci panowie ucieszyli takiém zeznaniem; spojrzawszy się na siebie, usnwiechnęli się, ale ja wkrótce z błędu ich wyprowadziłem, mówiąc:

— Wiécie panowie, że robiłem sieczkarnie i setki ich potrzebowałem. Tu uśmiech zobaczyłem znowu.

Pytano, czy robiłem klucz do fortecy. Tu powiedziałem z całą szczérością, że nie jeden, ale więcej, i komu dałem. Odbierali inżynierowie, oficerowie fortecy, nie wiem, czy panowie nie wiedzą, że okuwałem fortece, że mnie jednemu oddano fortyfikacyjne prace i uznano za najdoskonalsze, a żaden

Niemiec nie mógł mi wyrównać. I tu z klucza zrobiło się fiasko.

Zapytano mnie, kto u mnie bywał.

Powiedziałem, że gdybym był wiedział, że się będziecie o to pytać, to byłbym zapisał każdego, co był u mnie. Był to krótki z wszystkiego protokół.

Siedziałem już 2 tygodnie, gdy p. prezydent przysłał szpiega, aby wsadzono go do méj celi, gdzie tylko było miejsce na jedną osobę. Wprowadził go p. Lozerec, mówiąc, iż mam mieć kolegę. Człowieka tego znałem z nazwiska, Ziegler.

Mając książkę śp. Dunina, czytałem w niej. Gdy przestał czytać, zaczyna tenże Ziegler złorzeczyć i opowiadać mi, ile to osób aresztowanych i czy wiem o tém, że w Kórniku i tu w pałacu hr. Działyńskich mamy broń, i rozmajite brednie.

Wtém stojąc w oknie i patrząc na ulicę, mówi do mnie:

— Patrz pan, idzie ten łotr, co tyle ludzi nieszczęśliwych porobił, tyle mężów od żon i dzieci powsadzał do więzienia; ten łotr wisić i owinien za te ofiary.

Odpowiedziałem mu:

— Słuchaj pan, oto mam książkę do modlitwy, poleć Bogu swych nieprzyjaciół; bo jeżeli on zasłużył, to Bóg go ukarze.

NB. był to prezes Minutoli.

Był to już wieczór koło szóstej, kiedy dozorca więzienia przyszedł i powiedział, że Ziegler do innego więzienia przeprowadzonym zostanie. Po odejściu tegoż z pół godziny.

zapukałem na dozorcę. Gdy wszedł, pytałem się, czy jest jakiś sędzia na kryminalnym sądzie.

Poszedł i powiada, że jest. Bo mam ważne rzeczy do powiedzenia. Był to pan assesor Ewler. Pyta się, co mu powiem.

— Otóż, panie assesorze, siedział ze mną dziś więzień i opowiadał mi takie rzeczy i o prezydencie.

Ten się śmiać zaczyna i powiada, że tego pisać nie będzie, lecz mogę to p. prezydentowi M. powiedzieć.

— Więc pan takich rzeczy nie chce pisać co ja panu donoszę, co słyszałem?

Odpowiedział, że nie. Zadzwoił na dozorcę i kazał mnie odprowadzić do więzienia.

Przesiedziałem więc teraz bez indykcji do 27go 11go 45go.

Nadmienić muszę, że w dwa dni po wypuszczeniu szpiega, zjawia się pod memi drzwiami jakiś więzień, który osądzony jak mówił za porwanie deski z cegielni, skazany był na 4 tygodnie kary; że był na posłudze i chodził za sprawunkami do miasta.

— Panie, czy pan się nazywa Józef Lipiński?

— Tak, i co chcesz odemnie?

— Otóż kiedy chodziłem po podwórzu, rozmawiało dwóch sędziów o panu, że tyle dowodów jest na pana, że pan spisek robiłeś, że aresztowane żołnierzy z 6go pułku w Kretoszynie, ludzi w Ostrowie, Odalanowie; że jakiś podoficer Skrzycki wszy-

stko powiedział, gdzie pan byłeś i żeś namawiał ludzi.

Nie widząc go, powiedziałem:

— Słuchaj, mój bracie, dziękuję ci za to co mi powiadasz o tych nowościach, które mnie bardzo mało co interesować mogą, bo ja nic nie wiem i do niczego się nie poczuwam.

— To też ja nic na to nie mówię; toć to dobrze, że pan nic nie wie, ale jeżeli p. czego potrzebujesz, to ja idąc do miasta, sprawię. Tak też postąpił.

Wiedziałem o tém wszystkiém, że co mówił prawdą było, bo i oknem widziałem kręcących się żołnierzy z 6go pułku, a » Skrzyckim toż samo.

Dnia 28. 11. 45. zjawił się znany, ów okrzyczany inkwirent, dyrektor policyji Dunker z Berlina. Wiadomo, iż miał władzę rozrządzać kasami rządowemi, aby wydożyć ten spisek, przez ś. p. króla pruskiego Fryderyka IV i czém się chlubił sam, jak później wykażę.

Zawołano mnie na sąd zaraz o 3ciej godzinie po południu. Miał przy sobie protokólistę Meisnera, podoficera przy koman-danturze, z którym znałem się. P. Dunkera, nie wiedząc, kto to jest, nie wiedziałem jak tytułować, a że miał jakąś wstążkę u surduta, sądziłem, że jest audytorem wojskowym i ma za protokólistę sierżanta.

Zapytał mnie o nazwisko i jak chcę być słuchanym, czy po niemiecku, czy po polsku.

— Pytam pana, czy znasz mój ojczysty język?

Odpowiedział, że nie zna.

— Więc jak mnie pan możesz słuchać, kiedy nie znasz mego ojczystego języka?

On wskazuje na owego podoficera.

Odpowiadam, że my się znamy i on tak zna mój ojczysty język, jak ja niemiecki.

— Więc cóż zrobimy?

— Oto jeżeli pan przyjmiesz warunki, które podam, to możesz pan po niemiecku mnie słuchać.

— Czy chcesz mi warunki stawiać?

— Jeżeli panu się podobać nie będzie, to możesz zrobić co chcesz, a ja żadnego nie złożę zeznania.

— Więc czego żądasz?

— Oto, żebyś pan napisał to: jeżeli nie będę rozumiał jakiego słowa, obowiązuje, się mi tak przetłumaczyć, abym mógł powiedzieć, iż rozumiałem i podpiszę protokół, który pan prowadzić będzie.

Przystąpił i na wstępie zastrzegł na pierwszej karcie tę naszą ugodę, co podpisaliśmy wszyscy trzej.

Zaczął od spisku, od Skrzyckiego podoficera i tak od razu przechodzi, sięga Krotoszyn, Sulmierzyce, Ostrów, Odalanów, Kryrowo. R. Koczorowskiego itd. Że objeżdżałem 2 razy Księstwo i namawiałem do rewolucyj.

Odpowiedziałem wtenczas:

— Jeżeli tak urywkowo pan chcesz

mnie słuchać, to trudno nam będzie przyjść do końca, jeżeli zaś pan chcesz być poinformowanym dokładnie, gdzie byłem, co robiłem i z kim miałem do czynienia, to panu mogę powiedzieć te podróże historycznie, a wtenczas, jeżeli się panu podobać będzie, możesz monita porobić, że się z prawdą moje zeznanie nie zgadza, jeżeli mieć będziesz dowody.

Zgodził się na to.

Zaczął pisać więc ów Meisner. Wyjeżdżam wtedy, tj. opowiadając detalicznie, gdzie wstępowałem ze Skrzyckim, i to przez rozmaite wsie: Boguszyn i do pułkownika do Koźmina, Krotoszyna, Ostrowa, Osiłanowa, Raszkowa, Szczurów, Sulmierzyc i nazad Krotoszyn, Benice itp. miejsca i wróciliśmy do Poznania, drogą także samą, to Kostrzyn, to Zaniemyśl, to Książ i powtórnie Boguszyn i znowu znane okolice w powyższej indagacyji. Trwało to do 9tej godziny w nocy.

Kiedy zabębniiono na czapensztreich, podniósł się ten pocziwiec z krzesła i pyta:

— Co to jest?

— Panie, to czapensztreich.

Tak się zląkł, myślał, że to rewolucya. Podczas mego opowiadania przerywając, powiadał, że już i ci siedzą, gdzie byłem, i że nie zgadza się z prawdą to co powiadam, iż jeździłem, aby się przedstawić jako maszynista; i żebym nie myślał o tém, że on mi wierzy wszystko, i że posiada tę naukę.

iż potrafi wyczytać z rysów twarzy i oczów więźnia, czy winny lub niewinny.

— Jeżeli tak, to patrz pan na mnie i czytaj i roześmiałem się.

— Patrz, pan, czemu cię teraz twoji bracia nie odbijają z więzienia, kiedy tak wielkim kierowałeś spiskiem?

Odpowiedziałem:

— Czy pan słyszał, żeby wojsko coś robiło bez rozkazu dowódcy? Wypuść mnie, a zobaczysz pan, co umiem.

Była to ironiczna odpowiedź.

W czasie przesłuchów mówił do mnie, że tysiące zbrodniarzy miał przed sobą, ale tak zatwardziałego nie spotkał jakim ja jestem.

Odpowiedziałem:

— Wierzę panu, boś miał pewno ze złodziejami i zbrojnymi do czynienia, ale nie z poczciwymi ludźmi.

A on milczał.

Widząc, że już taka późna godzina, po rozmajitych zarzutach zakończył protokół i ja do więzienia, a oni na miasto się udali.

Przyszedł 29. 11. 45. Na drugi dzień już po 8miej rano kazał mnie przywołać i znowu zaczyna się indagacja, ale już nie ja opowiadam, tylko on robi zapytania, a ja skazany na odpowiedzi i tak co mówił do mnie i moje odpowiedzi zapisywał. Tu znowu trzymał mnie do 2giej z południa, porobił rozmajite monita, na które odpowiedź była taka, że nie mógł mię w niczém kompromitować.

Kiedy widział, iż na téj drodze ze mną nic nie zrobi, wziął się na inny sposób. Otóż powiada, iż ja jestem „ein verführtes Opfer“ i nie dziwi się, że się przyznać nie chcę, że boję się moich braci: lecz ja mogę temu zaradzić.

— Słuchaj pan, wszakże masz żonę i troje dzieci; miej wzgląd więc na to, co to za hańba, bo chociaż się wypierasz, mamy dowody w rękach i czeka cię śmierć pod toporem. Nic ci nie poradzi, więc nie daj doczekać téj hańby twój żonie i dzieciom.

Ja ci dopomódz mogę, mam ja tę władzę daną od najjaśniejszego króla, że dla mnie wszystkie kasy otworem stoja, mogę tyle brać pieniędzy, ile chcę, abym wykrył ten spisek. Ofiaruję ci 12,000 talarów, wywiozę pana do Brandenburgiji, zabierzesz żonę i dzieci z sobą i dam wam te pieniądze do rąk, jeżeli przyrzeczesz, iż mi ten spisek odkryjesz, bo tu zostać byś nie mógł, bo by cię twoji bracia zmarnowali.

Téj całej przemowy nie pisali w protokóle, lecz mnie zapytuje o odpowiedź, i tę zapisał, a która w Berlinie przed Kammergerichtem dopomogła mu, iż stracił urząd, kompromitując króla.

Odpowiedziałem jak niżej:

„Ich rufe Gott als Zeugen, dass ich den Weg der Gerechtigkeit gehe, ich habe Niemandem sein Eigenthum verlangt, aber meins habe ich vor Gott geschworen, nicht zu schenken. Das Geld kann

mich nicht locken, der Tod kann mich nicht schrecken, und die Zukunft meiner Frau und Kinder hängt von der meinigen ab. Kommt die Sache zu Ende, so wird sich jeder Richter überzeugen, dass ich stets Wahrheit gesprochen habe und kein Wort mehr zugeben oder zurück rufen werde.“

Podpisaliśmy protokół. Oni ze sądu, ja do więzienia rozeszliśmy się. 12. 12. 45. zdaje mi się, iż przeniesiony zostałem do fortecy (Kernwerk), do reduty 4, w której urządzono więzienia w kazamatach. Mnie dostało się w dolnym piętrze, okno 6 stóp wysokie, 22 stopy długie. Grudzień i Styczeń musiałem wśród dnia palić świece, które mi żona przysyłała. Nb. że tak jak teraz do fortecy, tak później do indyga-cyji w Poznaniu nigdy mnie pieszo nie prowadzili, tylko powozem odwożono i przywożono.

Żołnierz z forszpanem na koźle, a dozorca zemną w powozie siedział, a kiedy zajeżdżaliśmy przed frontest, to na odwachu Frydrychowskiem zawołano „raus“, a wten-czas brama frontestu się otwierała i powóz wpadł z nami w podwórze więzienia.

Było to w Styczniu, kiedy prezes re-gencyjny z prezesem Minatolim obchodzi-li więzienia w asyście 2 inżynierów, 2 do-zorców i inspektora. Moje więzienie było oznaczone Nr. 14. Donoszą więźniowie, że ja-kaś rewizyja jest u góry i kto jest Nr. 13.

Obok mnie siedział Tomasz Spizewski, wysłużony żołnierz, dawniejszy właściciel kamienicy na sw. Marcynie; woła oknem, które do fossy prowadziło, że idą. Ja aby pokazać, jakie mam więzienie, zgasilem maświécę.

Wchodzą więc i do mojej celi i pytają się, kto tu siedzi.

Nie dałem odpowiedzi, aż inspektor powiada, że Lipiński.

Rozpatrzywszy się, zobaczyli mnie stojącego. Zapytuje się mnie prezydent regencyjny, za co jestem aresztowany.

Odpowiadam, że p. prezydent Minutoli wie lepiej odemnie.

On na to:

— Przecież pan wie, o co cię słuchano?

— O to co szpiegi pańskie mówiły.

Prezydent reg.:

— Jakto?

— Oto p. prezydent M. kazał do mnie szpiega wsadzić, a on widząc oknem p. M. mówił, iż ten człowiek co tyle ludzi nieszczęśliwych porobił, już dawno wisić powinien.

A prezydent M. odpowiada pokazując palcem na szyję:

— Chociaż mówił, że wisić powinien, to nie mam mu tego za złe.

Odkłoniłem się i powiedziałem:

— Przepraszam pana prez. M., iż nie wiedziałem, że się pan da od takiego waga-bundy powiesić.

Prezes reg. pyta, jakie mam żądanie.

Odpowiadam, że chcę być wolnym.

— To być nie może.

— To też nic nie żądam.

Oficerowie i dozórcy tylko wargi przygryźli na tę mowę.

Indagacyji żadnych ze mną daléj nie prowadzono. Pisałem parę razy do szefprezydenta, aby mnie słuchano, lecz dostałem odpowiedź, że jak przyjdzie czas, to słuchać będą. Ja zaś pisałem w moich podaniach, że meine Geduld reisst aus, und ich werde nicht warten.

Teraz żona doniosła mi, że p. Teofil Magdz. aresztowany w Toruniu. Pan Bóg zrządził, iż się dostał do téj saméj reduty. Nr. 15 zajmował obok mnie podoficer Jan Kunkiewicz z 18go pułku. Podałem więc plan przez p. Dr. N., iż wypuszczę Teofila M. z więzienia i tym sposobem ujdzie inkwizycyji. Toż samo i Kunkiewicza. P. Dr. N. siedział na sali téj, gdzie dozórcy, więc nie zabraniali mu téż chodzić po gankach. Każdy sobie wystawić może, jakie ta moja propozycja zrobiła wrażenie.

Przychodziła Wielkanoc. W Kwietniu 12go 46go przyszedł Dr. N. we Wielki Czwartek pod moje drzwi i pyta się, kiedy ich wypuszczę.

Powiedziałem, że ma się pytać Teofila, kogo ma dobrego znajomego, co by przyłaził konie po niego, niech napisze, a ja list wyekspeduję z fortecy. List ów był do p. Tesko w Gaju, lecz zastrzegłem, żeby nadmienić: chociażby konie i 14 dni stały, to dnia oznaczyć nie mogę.

Pan Dr. N. przyniósł mi ten list. W fortecycy u nas rąbano drzewo, a rębacze ci znali mnie bardzo dobrze, byli to z duszą wiarusy.

Zapukałem na dozórce, że chcę wyjść na swoją potrzebę. Dozorca odsunął się odemnie, a na rębacza skinąłem. Wręczyłem mu list i szepnąłem:

— Z tym listem, kochany bracie, idź gdzie adres, schowaj, będziesz miał wynagrodzone. Jutro Wielki Piątek, nazad przędziesz, a na Wielką Sobotę wręczysz mi list.

I tak się stało, list przyniósł mi i oddał. mi i konie były we Wielkanoc.

Dozórca powypuszczali nas z więzień, bawiliśmy się razem, a pan Teofil i Dr. N nalegali, kiedy ich wypuszczę. Powtarzałem:

— Mięćcie cierpliwość, dałem wam słowo, a to dla mnie święte, tego co przyrzekłem, dotrzymam.

Tak przyszedł Poniedziałek po Przewodnicy. Pan Dr. N. przyszedł pod moje drzwi, może sam powieźić, co robiłem. Zastał mnie klęczącego, i prosiłem, aby trochę później przyszedł. I tak się stało. Pytałem się Dr.

— Czy masz pieniądze?

— Nie mam!

— Masz kredyt?

— Mam.

— Oto dziś was wypuszczę, lecz musisz odrobić z dozorcami, że mnie na górę

wypuszczają. Przyszykuj cukru, cytryn, araku; toż samo i Teofil, a ja zrobię ponczu i uczęstujemy dozorców. Muszę być wolny na górze, aby Teofila zamek otworzyć.

Wszystko Dr. N. odrobił, o 6 wieczorem byłem na górze. W grapie zagotowałem wodę, zrobiłem ponczu i naląłem dozorcóm po szklance od piwa, w których dobrze się pół kwarty zmieściło. Dla nas tj. Dr. N. i Emila Moszczeńskiego szklanę, dla mnie po małej, toż samo i żołnierzom w środku.

Dozorców było dwóch: Görke i Czaj-ske. Zasiedli więc wieczorem do kart z Emilem Moszczeńskim i grali mażąc zawsze kréskę, a było ich 8. Teofil M. z niecierpliwością wyglądał tj. czekał. Dochodziło już pół do dziewiątej, już położyli karty, lecz ja zacząłem namawiać, aby jeszcze raz grali. Pan Dr. N. toż samo. Zastawiali się, że może inspektor nadéjść. To ja do méj celi pójdę; nim jeden z panów pójdzie mu otworzyć, drugi mnie zamknie.

— Zresztą grajcie, jutro będziemy mieli dobre śniadanie o zakład. Ja daję za was jednego talara papiérowego co miałem, jak przegracie, a jak Emil przegra, da drugiego, i zgodzili się. Napisali 8 krések i zaczęli grać.

My z p. Dr. N. staliśmy przy stole. W kieszeni miałem z gwoździa wytrych. Kiedy się wsunąłem w ganek, otworzyłem zamek i szepnąłem:

— Teofil o piętro niżej.

Józef Lipiński.

Ja stanąłem nazad przy stole, więc T. M. widzieć nie mogli, będąc zajęci kartami, a żołnierze pewno sądzili, że także i F. S. był otwarty.

Pożegnałem dozorców, mówiąc, dobro-
noc, i żeby przyszli mnie zamknąć, a jutro
mi powiecie, kto wygrał. Ponczu mamy
dosyć.

Zeszedłem na dół. T. M. stał mając
płaszcz, ja wszedłem do mojej celi, wziąłem
czamarkę na siebie i rogatą czapkę. Otwo-
rzyłem Kunkiewiczowi, drzewo do wyjścia
na drugą stronę fossy przygotowałem. Było
3 cale grube, 5 cali szerokie, od zabicia
sztachet, gdzie były 3 armaty w 3 lukach.
A że 3. 3. 46go wyprowadzili je na wały,
drzewo od zabicia zostawili pod ścianą.
Znając dobrze fortecę i ganki podziemne,
powiedziałem jak wyżej, że okuwałem i zam-
ki do tychże szykowałem.

Znałem położenie dokładnie. Otworzy-
łem kratę od szyszaty armat (to jest okno),
kłódkę położyłem i odzywam się:

— Tu jest drzewo, po którym wyjdzie-
my i teraz Teofil wychódź.

Odpowiedział:

— Idź ty!

Ja wiedząc, że mur 6 stóp gruby, prze-
suwałem się na rękach, mając w ręku kru-
cyfiks z nowego srebra. Ten krucyfiks z
Chrystusem na krzyżu był używanym, kiedy
świadcowie przysięgę wykonywali, toż samo
i śp. ksiądz Siwicki, proboszcz Sulmierzyc,
dyż na sądowy krzyż nie chciano przysię-

gać, a ja musiałem zawsze swój przynieść z więzienia w Berlinie.

Tu schwyciłem się muru i spuściłem się do fossy, podali mi drzewo. Przyczajwszy się do ziemi, ciągnąłem za sobą, aby mnie żołnierze stojący z jednej i z drugiej strony fossy na wałach nie widzieli. Zapomniałem powiedzieć Teofilowi i Kunkiewiczowi, że z okna jeszcze wysoko do fossy. Wskakiwali więc i Kunkiewicz zgubił furazerkę. W tém Teofil przyskoczył i chciał za mną zaraz dostać się z fossy, szepnąłem więc:

— Czekaaj, bo złamiesz drzewo i żaden nie wyjdzie.

Wstrzymał się, bo droga po niém dosyć była pochyła. Kiedy stanęliśmy na wałach, położyłem ów wytrych na kamieniu, aby sobie władza nie łamała głowy. Żołnierz stojąc na warcie o 30 kroków, nie mógł nas widzieć, bośmy na skrócie wału stali.

— Teraz pójdźcie za mną, aby nas ronda na wałach nie spotkała.

Spuściliśmy się na drogę, która idzie do Szelaga. W bramie na prawo był odwach. Ja szedłem z owej strony, T. w środku, a K. zakrywszy się płaszczem, nie mając furazerki, z lewej strony. Wkrótce stanęliśmy przy kościele Dominikańskim. Tu stanąłem i rzekłem do obydwóch:

— Jedźcie, macie konie, nie dajcie się schwytać, bo by was już nikt nie wypuścił i niech was Bóg prowadzi.

Na to Teofil:

— Czyś ty oszalał? Ja zostanę, ja we-

zmę odpowiedzialność na siebie; i rozłączyliśmy się.

Kiedy Dr. N. wyszedł, tego nie wiem. Przeszedłem Dominikany, ulice: Szewska, Szeroką i przed Ratuszem uderzyła 10ta godzina. Tu trafiłem p. Rydlewskiego, staruszka, który miał do wynajmowania powozy. Położyłem mu rękę na ramię i mówię:

— Dobry wieczór.

Pocziwiec stanął i mówi:

— Jezus Maryja! co pan tu robi?

— Cicho, stary, czy możesz mnie wywieźć z miasta?

— Nie, bo wyjeżdżać nam nie wolno, nie mając karty od policyji, z kim i gdzie jedziemy.

— Więc pan milcz, żeś mnie widział; wiesz, co by cię czekało. Zostań z Bogiem.

Toż samo i on powtórzył.

Udałem się na Szkólną ulicę i na Kozią. Tu gdzie dziś Bazar, postawił kamienicę nową, mieszkał śp. Bonitor Wlazłowski na 1szym piętrze. Wchodzę, drzwi zamknięte; zapukałem, już się spać kładli, kiedy przez drzwi pyta:

— Kto tam?

— Lipiński.

Otwiera drzwi z tym samym okrzykiem:

— Jezus Maryja! i powiada:

— Zona pańska przed pół godziną ztąd poszła.

— Czy pan mógłbyś mnie za miasto wywieźć?

— Nie!

To samo powtarza co Rydlewski.

— Kochany pan idziesz co dzień na prymaryją do Fary, przechodzisz obok okien méj żony, ona także chodzi z dziećmi, powiedz jéj pan, że mnie już w forticy nie masz.

Poszedłem.

Na rogu Szkólnéj i Gołębiéj ul. mieszkała moja żona. Chciałem jéj powiedzieć, lecz przechodząc widziałem osobę we drzwiach sieni w płaszczu. Nie chciałem się zbliżyć, a to jak się dowiedziałem, był żołnierz, któremu poleciłem uwiadomienie méj żony. Nie mogąc się dopukać do drzwi, stał w sieniach.

Przeszedłem Szkólną ulicę i tę ciasną obok apteki i wszedłem na chodniki ulicy Wrocławskiéj. Gdzie dziś handel pana Brylińskiego, był handel cygar Neulendera. Były jeszcze drzwi otwarte i jasność biła na ulicę. Tu rozłączał mnie rynsztok, a środkiem ulicy szedł komisarz policyji Elsner z policyjantem i żandarmem. Patrzelismy na siebie, i jak później opiszę, przemówił komisarz E. do swych kolegów:

— Widzieliście tego co tu przechodził?

— Widzieliśmy.

— Komu podobien?

— Żywy obraz Lipińskiego.

Komisarz mówił:

— Siedzi on w dobrém miejscu.

Puściłem się do Górczyna. Nie piszę więcej znaczących rzeczy.

Stanawszy w Górczynie, poszedłem do

Macieja Palacza, wtenczas sołtysa, a mego
dobrego przyjaciela, i zapukałem do okna.

Zona się obudziła, przyszła do okna i
pyta się:

— Kto tam?

Odpowiadam:

— J. Lipiński.

Zona budzi go.

— Maciej, wstawaj, bo pan J. Lipiński
tu jest.

Noc była pogodna, gwiazd pełne niebo,
lecz księżyc nie świecił. Było to 20. 4. 46.
Pocziwy Maciej wyskoczył z łóżka i zabie-
rał się do wyjścia. Tymczasem namysliłem
się, i aby nie zrobić go nieszczęśliwym, żeby
się dowiedziano, unknąłem i poszedłem
drogą do Komornik.

Pocziwiec wstał, szukał, wołał:

— Józef, bracie, gdzie jesteś? Lecz
wszystko daremnie.

Wrócił do izby i powiada:

— Kobięto, tobie się śniło, żeś go wi-
działa, przecież żywego ducha w podwó-
rzu nie ma, przecież by się odezwał.

— Macieju, przecież widziałam go
przez okno i rozmawiałam.

— Ale to nie podobna.

Na drugi dzień jadąc do Poznania prze-
konał się.

Mówi:

— Matka, ty masz rację, on tam mu-
siał być.

Przyszedłem o punkt 12tej w nocy pod
Komorniki i byłem obok cmentarza, kie-

dy stróż gwizdał na szosie we wsi. Posłyszałem, że ktoś jedzie i pies szczeka. Nie chcąc, abym był widziany, otworzyłem drzwiczki sztachetowe i wszedłem na cmentarz (był on wtenczas kamieniami opasany), zamknąłem drzwiczki za sobą i usiadłem pod krzyżem, czekając, kto przyjedzie. Wkrótce widzę wóz przykryty płachtą, był to furman ślązki. Kiedy nadjechał przed cmentarz, idąc przy wzie, pies zaczął przed cmentarzem szczekać. Widząc to furman, wskoczył na wóz, podciął konie i ruszył szybko dalej; pies pospieszył za woz m. Usłyszawszy, że stróż już ku kościołowi gwizdże, przesunąłem się przez wieś i udałem się do boru Rosnowskiego na lewo.

Zmęczony położyłem się na ziemi, lecz zrobiło mi się zimno. Wychodzę z boru i patrzę na pole, że się coś bieli, idę i znalazłem kupę gnoju, pomiędzy tymże dużo czystej słomy. Zbieram i zanoszę do boru i w tym barłogu spocząłem, aż świtać zaczęło. Zgarnąłem znowu wszystko i zaniósłem, z kąć wziąłem.

W Rosnowie mieszkał dziedzic p. Pomorski, który znał mnie z dziecka, będąc z moimi rodzicami w dobrej znajomości. W Komornikach dzierżawił probostwo ze mną spokrewniony p. Jaksiewicz, ale tu mieszkał i komisarz obwodowy p. Gregorovius, późniejszy lantrat w Pleszewie. Nie chciałem ich kompromitować i wolałem się udać do Wirów, na trakcie do Mosiny.

Było około 5tej rano, gdy przyszedłem

pod wieś. Fornal wyjeżdżał właśnie ze wsi przez mostek 4 końmi z gnojem. Pochwaliłem Pana Boga i pytam:

— Słuchaj, bracie, czy tu jest Józef Kamieński, ekonom?

— Tu.

— Czy u siebie?

— Nie, szedł do gorzelni.

A ta stała o sto kroków od nas.

— Słuchaj, bracie, idź do niego i powiedz, że tu ktoś czeka na niego, aby zaraz przyszedł.

Fornal się wzdrygał.

— Ja się boję, aby się nie gniewał, że od koni odchodzę.

— Nie bój się, ja ci potrzymam konie. I poszedł.

Pare minut, a byli przy mnie obaj. Fornal pojechał w pole, my się uściskali i zapytał mnie o Jaśka, tj. Kunkiewicza. Był to cioteczny brat jego. Powiedziałem, że już go nie masz w fortocy.

Wziął mnie do gorzelni, tam posiliłem się i napisałem list do mojej żony, gdzie jestem, i to posłałem przez śp. Dramińskiego, szwagra p. Sztremlera, dzierżawcy Wierów, lecz adres był do WPani Dyr. Jaróchowskiej w landszafcie, aby ta pani mojej żonie zakomunikowała.

Po owym śniadaniu udałem się z Kamieńskim do chaty, gdzie mieszkała wdowa mająca 66 lat, z córką i synem (był to ten sam fornal). Kamieński polecił téj dzie-

w czynie, aby poszła do brata po klucz, by mnie przebrać za wieśniaka.

Pocziwe dziewczę przyniosło klucz i przebrałem się w długą sukmanę, skórzane spodnie, buty, czapkę z barankiem graniatą, a moje rzeczy schowała. Oddałem ję także paczkę z listami od męj żony, które pisała do mnie do więzienia, i te schowała. Kamiński dał mi dubeltówkę i do nię naboje, te zawinęła dziewczyna w płachtę i zaprowadziła mnie do zagajenia. Tu wziąłem fuzyję i pożegnałem ją, lecz odrzekła:

— Ja tu będę wszystko panu przynosiła, co pan potrzebować będzie.

Stanąwszy w zagajeniu, co tu robić, nie mam gdzie usieść. Zginam chojenki i zwięzuje u góry, zakładam altankę; zbieram mech, robię z przepysznego mchu kanapę, podłogę wyściełam w desenie, stawiam krzyż przed nią, wszystko z mchu.

Po południu zjawia się do mnie Kamiński i powiada:

— Ksiądz prosi ciebie i mnie na kolacyję. Przyjdź pod wieczór ku wsi, a ja się z tobą zobaczę.

Przed wieczorem udałem się i stanąłem pode wsią, on nadszedł i mówi:

— Za rychło jeszcze, więc nie pójdziemy przez wieś, lecz przez bród.

Zaprowadził mnie do karczmy, którą trzymał żołnierz z Napoleona czasów, śp. Pe-kalski. Przechodzę przez izbę za Kamińskim, siedzieli w nię wieśniacy i paliła się

lampka z knotkiem pływającym na oleju. Ja w sukmanie postępowałem za nim, on rzekł:

— Pójdź, to cię zgodzę.

Kiedy stanęliśmy w stancyji tegoż P., powiada Kamieński:

— Panie, każ zrobić 3 szklanki groku.

Kiedy były gotowe i gospodarz podał, mówi do P.:

— Panie, wiesz kto to jest?

Tenże wzdrygnął ramionami.

Kamieński powiada:

— To jest Lipiński.

— Co, to pan? Czekaście, to ja wam coś pokażę, co mi dziś po południu żandarm zostawił. Oto gończy list i mówi, że sto talarów dostanie nagrody, kto go dostawi.

My w śmiech.

— Słuchaj pan, to jutro mnie odstaw, a podzielimy się pieniędzmi. Mojej żonie oddasz 50 i sam weź 50 talarów.

— Ale, żandarm zamówił połowę.

— Słuchaj pan, niech te pieniądze przepadną, niż ja na moje stare lata miałbym się okryć hańbą, bo kto by uwierzył, że ja się z panem porozumiał? Nie chcę ani słyszeć o tém.

Wypiwszy grok, udaliśmy się do księdza. Kamieński śmiało mnie do pokoju wprowadza, lecz zobaczywszy, iż przed księdzem siedzącym na kanapie stoi jakiś człowiek, który usunął się do okna, ja przyszedłem do księdza, pochwaliłem Pana Boga, czapką skłoniłem się do kolan, a ksiądz się pyta:

— Co mi powiesz, mój bracie!

— Oto przyszedłem do Jegomości i chcę dać na zapowiedzie.

— Dobrze, zaczekaj, jeno tego wyekspe-
dyjuję, to ciebie zapiszę.

Tak stanąłem za tym człowiekiem, iż obróciwszy się ani mię widział. Z twarzy nie mógł także i wyszedł.

Książdz siostrze kazał, aby podała okien-
nice. Wstał, uściskał i ucałował mnie i
mówi:

— Wiész, że się zdumiałem na taką
odповідź.

Niedługo przyniesiono kolacyją, zjadłem.
Koniecznie chciał, abym u niego nocował,
lecz na żaden sposób tego przyjąć nie chcia-
łem, mówiąc:

— Księżyczku, słyszałeś, że za mną
wszystkie nieszczęścia idą; gdzie stąpnę no-
gą, tego aresztują. Więc na co więcej nie-
szczęść, ja pod gołem niebem przenocuję, a
tu nie!

— A to, kochany bracie, kiedy nie chcesz
tego przyjąć, przyjm przynajmniej odemnie
3 talary, wiem, że nie masz, a one ci się
przydać mogą.

Przyjąłem.

Pożegnawszy się, poszedłem. K. zaś
kazał owój dziewczynie, Kasi otworzyć sto-
dołę z tyłu i zrobić mi posłanie i tam się
przenocowałem. Ze świtem już byłem w
mojej altanie.

Kamiński uwiadomił w Głuchowie śp.
Fiałkowskiego, że jestem w zagajeniu. Nie

wiedziałem przecież, że w oddaleniu ode-
mnie o jakie 50 kroków, dwóch moich ko-
legów pod ziemią mieszkają. tj. śp. Józef
Esman i Michał Wodpol. Wychylając głó-
wę ze swój kryjówki, widzieli mnie, że coś
zbieram, że ktoś przychodzi do owego wie-
śniaka, widzieli i księdza i nie domyślali się,
że ów wieśniak jest ich kolegą.

Była to Sroda, gdy się zjawił we wsi
K. J., syn pani Dyrektorowej i chciał się
widzieć ze mną, lecz nie znając nikogo we
wsi, wrócił. Na drugi dzień przyjechała sama
pani Jaróchowska Dyr. i czwórka stanęła
przed księdzem.

Przedstawiwszy się księdzu, zapytała,
czy by tu czasem nie było jakiej dziewczyny,
której by mogła użyć za mamkę, bo tu pię-
kny lud.

Ksiądz odpowiedział:

W tym momencie nie wiem, pani do-
brodziko, lecz będę się starał dowiedzieć.

Pani Dyr. usiadłszy, jakoś się nie wy-
nosi. Po długim namyśleniu pyta się księ-
dza o mnie.

Ksiądz powiada, że wie.

Pani Dyr. mówi:

— To chciałabym dojechać.

— Nie radzę pani dobrodzice, mógłby
być przypadek.

— Ja przywiozłam mu do przebrania
rzeczy i 30 tal., chciałabym, aby się udał do
Sokolnik i wyślemy go do Paryża. Jeżeli
ksiądz będzie łaskaw, to tu zostawię, a ksiądz
mu wręczy.

Było to w Czwartek; ksiądz przybył do zagajenia, wręczył mi pieniądze, a rzeczy K. odebrał i złożył u Kasi matki. Dziewczę miało wszystko pod sobą.

W parę godzin potem przyjechali do zagajenia z polecenia p. Fiałkowskiego z Konarzewa śp. Jakubowicz wójt i Marceli Ludwicki. Kiedy weszli do zagajenia, trafili na mnie. Pochwaliłem Pana Boga, czapką skłoniłem się do nóg. Jakubowicz zapytuje:

— Zkąd ty tu przychodzisz?

— Na gałązki.

— Czy nie wiesz, że p. leśniczy Wieliński zakazał?

— Przepraszam, ja nie wiedziałem o tém. I poszli.

Nareszcie obróciwszy się, wołają:

— Wróc się.

Ja wpatruję się i poznaję ich.

— A toś ty w sukmanie? Słuchaj, czy wiesz, że tu jest Esman i Wedpol?

— Gdzie?

— Pójdź z nami.

I zaprowadzili mnie przed kryjówkę. Wychodzą z pod ziemi. Jakubowicz pyta się:

— Czy znacie tego człowieka?

Wzdrygnęli ramionami.

— W życiu nie widzieliśmy go.

Ja i oni w śmiech. Zdejmuję kaptur.

— A co, Józeku, znasz mnie.

— Ach, słuchajcie, ktoby go poznał.

Tu pytania, jak się tu dostałem. Opowiedziałem jak wyżej.

Teraz nadszedł leśniczy Wieliński z leśniczym Dramińskim. Stała narada, iż się ztąd w inne miejsce przenieść mamy, bo dla nas trzech nie było miejsca.

Pooddalali się wszyscy, a ja z Dram. poszliśmy szukać innego miejsca, znaleźliśmy i natychmiast chciałem wrócić po szpadle. Dram. pożegnał się i poszedł, a ja wziąłem Esmana, Wodpola i sam ze szpadlami zaczęliśmy tak pracować, że przed nocą była kryjówka na metr głęboka gotowa. Porobiłem framugi w ziemi, gdzie nasze wiktuały złożyliśmy; mieliśmy zapasu wszystkiego na 3 tygodnie. Z chróstu daszek niski zrobiliśmy i tak było wygodnie, że 3 materace mogły leżeć obok siebie.

Nadmienić muszę, iż pod ten czas jak ja szukałem z Dram. miejsca, w zagajeniu człowiek, który pracował w cegielni w Żabikowie u p. Mühle, przyszedł na gałązki i trafił na kryjówkę Esmana i Wodpola, a gdy mi powiedziano o tém, mówiłem:

— Czemuście go nie zatrzymali, gdybym tu był, byłbym mu dał pieniędzy i powiedział, kto my są, a nie byłby może nas wydał i rozgadał.

— To nam na myśl nie przyszło.

To źle; więc trzeba się ztąd wynieść, bo grozi nam niebezpieczeństwo.

Wyszedłem z zagajenia, lecz on był ku Wirom daleko. Trudno było za nim wołać.

Tak przyszła Sobota. Kasia przyszła do zagajenia, czy czego nie potrzebuje.

— Oto przynieś mi rzeczy do przebrania, a brata weźmiesz, bo jutro Niedziela.

Przebrałem się i odeszła. Kiedy nadszedł wieczór, przyjechał Jakubowicz i Ludwiczki. Opowiedzieliśmy co się stało, pozbieraliśmy wszystko do jada i stanęło na tém, że w Niedzielę przeprowimy się przez rzekę i udamy się w Głuszyńskie bory.

Oni odjechali, my poszli na spoczynek.

Rano dnia 26. 4. wstaliśmy z Wodpołem i poszliśmy szukać główki od fajki, którą wieczorem gdzieś zgubił, lecz nie mogliśmy znaleźć. Piękny był dzień, już miało się ku wschodowi słońca, kiedy jedziemy i słyszymy jakiś turkot jak grzmotu. Wodpol mówi:

— Grzmi.

— Ale gdzie, patrz ani jednej chmurki na niebie. Lecz uszedzszy parę kroków, po drugi raz się to powtarza, a W. na to:

— Widzisz, że grzmi.

Ja stanąłem nie wierząc, W. odszedł odemnie z 15 kroków. Słyszę, że ktoś gwizdnął; powiadam:

— Jeżeli ktoś z naszych, to wie, gdzie nas szukać.

W. postąpił dalej, a ja stoję. Gwizdnięto drugi raz. Ja w miejsce W. posunąłem się dalej, a kiedy trzeci raz gwizdnięto, poszedłem ku temu miejscu, lecz w tym momencie napadło na mnie siedmiu żołnierzy z nabita bronią i borowy rządowy. Zaczęli szarpać; ja na to:

— Czy uciekam?

Była to obława; wyprowadzono mnie na drogę i tu ujrzałem ten pochodzący grzmot. Było to pół szwadronu, czy tam ileś huzarów i ci to na skinienie oficera jadąc, stanawszy, ten turkot sprawili.

Obstawiono mnie na drodze wkoło huzarami, z odwiedzionemi broni kurkami. Za Wodpołem się puszczono, a Esman spostrzegszy się, zaczął uciekać. Strzelono i kula przeszła mu rękę.

Piechoty było 2 kompanije, 2 hornistów, 2 tamborów. Wtém kiedy stałem przy małej topoli, przyjeżdża na koniu p. Gregorovius komisarz. Zeskoczył z konia, przystąpił do mnie i zaczyna rewidować. Lecz jak włożył rękę do bocznej kieszeni i wyciągnął „Posenerkę,” którą przysłał mi pan Fiałkowski, wsiadł na konia i pojechał do majora, który tę obławę prowadził, pokazując „Posenerkę,” że Lipiński jest.

Pocziwy major przyjeżdża z p. G. na koniu, a stanawszy przedemną, zapytuje, czy jestem Lipiński? Odpowiadam:

— Zu befehlen Herr Oberst Wachmeister (nazywał się von Wernike).

Podniósł rękę do kaszkieta i odezwał się w obliczu komisarza i wojska:

— Ich finde mich glücklich die Ehre zu haben Sie zu kennen.

Ja się odkłoniłem, a on odjechał dalej.

[O tym pocziwym majorze wspomnę, gdy już później był generałem, jak mi oddał w Sremie po dwa razy wizytę.

Został pułkownikiem i bywał często w Górze u śp. hr. Platera, stojąc garnizonem w Sremie. Podczas austryjackiej wojny został jenerałem i wziął dymisyją, tak mi się zdaje, czy téż urlop i przyjechał latową porą do hr. Syn mój będąc księdzem w Sremie, tak samo jeździł do Góry.

Pewnego razu jenerał pyta hr.:

— Czy ten ksiądz jest synem tego Lipińskiego?

— Tak, a ojciec jego żyje i jest u niego.

Jenerał przystąpił do syna i przedstawiając się, powiada:

— Jeżeli ksiądz pozwoli, to was odwiedzę.

I po dwa razy był u nas, zjadł śniadanie i rozmawiał o ubiegłych czasach; wypił i wina, a wstając, wyrzekł do mnie te słowa przy pożegnaniu:

— Wié pan, teraz jesteście bliżej odrodzenia waszój Ojczyzny, jak kiedy był spisek.

Z synem grał w szachy, a odjeżdżając podawszy rękę, serdecznie uściskał.]

Tu sprowadzili Wodpola i rannego Esmana. Komisarz posłał po konie na Olen-dry Rosnowskie i zabrano nasze szynki, ryby marynowane, pieczenie i rozmaite trunki. Z tych i oficerowie się najedli i nie mogli wydziwić się, iż tyle tego tam było. Dojechalíamosy do wsi tj. Esman jechał, my zaś szli ten kawałek pieszo.

Tu aresztowano gorzelanego Kamińskie-
Józef Lipiński.

go i owego fornala. Nie opisuję tu szczegółów co się działo.

Pan Sztremler, dzierżawca, poprosił majora, czy by nie pozwolił, aby nam mógł dać furmankę.

— I owszem.

Żołnierzom zaś kazał rozdać chleba, wódki i piwa.

O niczem nie wspomnę tu co się działo, jak o biednej dziewczynie i jej matce. Te stanęły za płotem i patrząc, płakały, ale ja widząc, trząsnąłem głową, aby tego nie czyniły i stały potem spokojnie.

Przejeżdżając czwórkonnym wozem w żniwnych drabkach przez wieś, tambory bębniłi nam wszędzie. Przyjechaliśmy na Wilde. Kiedy wjechaliśmy na Półwiejską ulicę, zaczął się lud gromadzić, lecz ani Niemcy, ani nikt nie urągał się nam, owszem ze wsząd z okien powiewano białymi chustkami.

W hotelu Rzymskim pełno dam nas witało; kłaniałem się na wszystkie strony. Właśnie odbywała się parada na Placu. Cała świta rzuciła się do baryjery, aby mnie widzieć; zawieszono mnie przed policją. Tu stanęliśmy.

Przystąpił pan Kliem komisarz i zeskoczyłem z woza; wojsko obstąpiło obok teatru plac, gdzie odstawiono Esmana i Wodpola; drugich nie widziałem; 30 tal. papierowych, które miałem i gończy list, co podczas podróży wsunąłem w but, tj. w cholewę fornala, aby księdzu oddał, to wróciło do

godnych rąk pani Dyrektorowej Jaróchow-
skiej.

Wprowadzony zostałem do bióra policyjnego.
Tu oczekiwał mnie pan prezydent Minutoli.
Założono mi łańcuszek na rękę i nogę i za-
częto indygię.

Zarzucono mi, iż połamane drzwi i
kratę. Roześmiałem się i powiadam:

— Patrz, pan P., to tak prawdę, jak
to że, należę do spisku i zapytałem się,
czy znaleźli ów wytrych?

— Znaleźli.

— Otóż to co zrobiłem, a resztę opo-
wiedziałem jak wyżej, uchodząc z fortecy.

W tém powiadam:

— Panie Prezydencie, każesz mnie
słuchać, a ja jeszcze dziś w ustach nic nie
miałem.

— Czegoż żądasz?

— Mam tu w sakiewce 25 fen., prosit-
bym o chleb z masłem, szynkę i kufelek
piwa.

Nie chciał odebrać pieniędzy i kazać
przynieść piwa i chleba z masłem bez szyn-
ki. Z apetytem jadłem pomimo indygię.

Tu nadmienić muszę, że kiedy komisarz
Elsner na drugi dzień usłyszał, że uszedłem
z fortecy, powiedział prezydentowi, że mnie
trafił; prezes na to:

— Czemu go pan nie aresztował?

— Czy ludzie sobie nie podobni? czy
mógłem wiedzieć, że uszedł z fortecy?

Tu się prezydent pytał, czy ja ich wi-
działem.

— Tak jest.

Zapytał się o Teofila i Kunkiewicza, że ich wypuściłem.

— Panie Prezydencie, teraz macie panowie pięciu na to miejsce.

— Czy pan handel z nami prowadzisz?

— Nie, ja za tych dwóch, pięciu sprowadziłem.

— Patrz pan, ile kosztów zrobięś przez tę ekspedycją, wojsku 225 tal. (czy prawda, nie wiem).

Odpowiedziałem, że bym był wziął polewę i sam wrócił.

— Patrz pan, co ze mną robi rząd, oto wprowadzono mnie do miasta na wozie trymfalnym, jak Numę Pompiliusza do Rzymu, i nie pojmuję, co to kiedyś ludzie powiedzą, czytając, co panowie robicie ze mną.

W tém prez. powiada:

— Patrz pan, żona pana stoi z dziećmi przy Teatrze.

Ja udaję, że nie widzę.

Wskazuje mi żonę i dzieci.

— Widzę!

— Czy pan chcesz się z nią widzieć?

— Czy będę wolny?

— Nie!

— Więc i widzieć się nie chcę!

— Tak, bo uszedszy z więzienia, byłeś u niej.

— Tak, panie, byliśmy razem.

Oburzony powiada:

— Ja nie byłem.

— Więc jeżeli pan prez. nie był, zkaąd wiész, że ja byłem?

— Patrz, pan, ile tu publiczności jest, i myślą, że my panu głowę urwiemy.

— Przecież pan masz moc kazać porozpędzać. Ci ludzie patrzą na tę kome-dyją, co panowie robicie; jest to wstyd dla rządu.

Przy całej téj rozprawie był świadkiem śp. pan Dyr. Jaróchowski, któremu p. prez. nie wzbronił przystępu.

Zamknięto mnie w więzieniu; do czasu aż się lud rozszedł, wtenczas zajechał powóz i pan komisarz Kliem przyszedł; wziął mnie z sobą do powozu i z żandarmem od-wieziono mnie do fortecy do Rawelinu Nr. 4. Gdy tu wszedłem, wprowadzono mnie do celi Nr. 18.

W pierwszej celi siedział Dr. N., mając żelazne paciórki na ręku i nodze; mnie zdjęto moje i zabrał je żandarm. Pomyślałem, jaki to grzeczny pan prezydent, że mi ka-zał zdjąć. Ze wszystkich cel więźniowie, kiedy ucichło, pytali, czy mi się nie chce jeść. Byłem głodny; przysłano mi przez dozórcę jedno i drugie.

Wieczorem znużony położyłem się w gatkach na łożko i zasnąłem, lecz budzę się słysząc w nocy brzęk kajdan. Myślałem, że nowego prowadzą więźnia, ale ujrawszy światło i zgrzytnięcie klucza w zamku, wi-dzę inspektora, dwóch dozórców i słószarza Weissa, młodszego, ze św. Marcina z paciór-kami.

Inspektor oświadcza mi, że będę zakuty. Wyciągnąłem nogi i zanitowałem mi obręcze na jednej i drugiej, leżącemu na łóżku. Rzuciłem nogi z kajdanami na łóżko i odwróciłem się od nich, nie odpowiedziawszy ani słowa na dobranoc. Ciężka to była noc, gdyż nie wiedziałem, jak położyć nogi przed kajdanami.

Nie pamiętam, czy pierwszego czy drugiego dnia zawołać mnie kazał znany mi teraz Dr. Dunker. Jak tu pójść w gatkach na Kernwerk do niego i w kajdanach, lecz Dr. N. dał mi swego płaszczka i poszedłem w szkarpetkach, a był to kawał drogi, bo od ostatniego blokhausu do koszar. W środku od małej śluzy wlokłem kajdany, które się co moment guzliły i stanąłem nareszcie przed owym Dunkerem oraz Meisnerem.

Tu zaczął indagacją o ucieczce, z kąd fuzyja i z kąd dostawaliśmy jeść. Pomijam wszystko, lecz najgłówniejsza, że powiada do mnie:

— Słuchaj pan, tak długo zapierałeś się, że o niczym nie wiesz, że do spisku nie należałeś, ale teraz mam dowody czarne na białym, coś pan opowiadał we więzieniu, i stojąc przedemną, wpatruje się we mnie i mówi:

— No, co pan mówisz na to?

— Proszę pana dyrektora, abys mi to przeczytać kazał.

Otóż czyta dosłownie wszystko co mówiłem do więźniów, lecz opowiadałem to zawsze, co mnie tenże Dunker zarzucał;

— 33 —

nie mieszając tego, abym się przyznawał do czegoś.

Po przeczytaniu mówi, czy nie opowiadałem tego.

Przyznałem, że słowo w słowo prawda.

— A więc przyznajesz się, że wszystko prawda, mówił stojąc przedemną rozgniewany.

Podniosłem nogę z kajdanami i jak uderzyłem w podłogę, Dunker odstąpił i pyta:

— Co się to ma znaczyć?

— Panie dyrektorze, jak pan możesz tak mi wpierać?

— Wszak pan przyznałeś, że opowiadałeś?

— Tak, ale ja się pytam, czy wiedzieć i opowiadać jest jedno i to samo?

— Nie!

— Czy pan dyrektor masz tu moje akta, to się przekonaj, że opowiadałem to coś mi pan zarzuczał, a jeżeli panu opowiedano, to opowiadano to, co stoi w aktach.

Wziął je do ręki, a przejrzawszy, iż się wszystko zgadza, pisze krótki protokół i nadmienia, że co powiedział p. p. o mnie, nie ma żadnej podstawy.

W późniejszych protokółach, kiedy jeszcze więcej dokuczał, powiedziałem mu:

— Panie dyrektorze, proszę nie wpieraj we mnie, nie dręcz mnie i wyciągałem rękę, kajdany na nogach mając.

— Żebyś pan żywcem wyciągał żyły ze mnie, nic powiedzieć nie mogę, nic nie

wiém i żadnego z mych braci obwiniać nie mogę.

Nie wiem, czy tego człowieka wzruszyło to. Podał mi rękę i rzekł.

— Słuchaj pan, od dziś dnia nigdy już słowa nie usłyszysz, abym ci wpierał, widzę, że się poświęcisz.

— Myśl pan dyrektor jak chcesz, lecz dziękuję panu za to, że przestaniesz mnie dręczyć.

— Kajdany, mówił, poproś pan szefprezydenta, to panu zdjąć każe.

— Prosić nie będę. Kazał włożyć, tj. zakuć, niech każe i zdjąć. I po 4 tygodniach zdjęto.

Nie piszę, ile przykrości mi robiono, bo za wiele do opowiadania. To nadmienić muszę, że w czasie indagacyji pewnego razu powiedziałem mu:

— Pamiętaj pan, że pan dyrektor za mnie hańbę poniesie; co później opiszę.

Ten co o tém wszystkim powiedział Dunkerowi, toż samo o Dr. N. i o p. Wł. Kosińskim, jak się później dowiedziałem, był Emil Moszczeński.

Zwołano później 1846 Immediat komisją i dnia 8go Czerwca zwieziono mnie do frontestu. Tu miałem do czynienia z godnym ze wszech miar s. p. dyrektorem Guderyanem.

Zaczął znowu owę indygacyją od początku. To co więc przed Dunkerem powiedziałem, toż samo i przed dyrektorem G.

Zaszła tylko konfrontacyja pomiędzy

mną i mojim wujem, dziekanem koźmińskim, a proboszczem odalanowskim, ks. Bernardem Bibrowiczem, tym, który w Tumie nad zwłokami śp. Kościuszki miał kazanie żałobne.

Zaszczycony przez śp. księcia Antoniego Radziwiłła względami, szefprezydent Frankenberg nakazał tę konfrontację. Kiedy go przywołać kazał dyrektor G., ja zaprzeczyłem zeznaniu jego, chociaż uznałem podpis jego. Był on we wieku 67 lat. Dyrektor G. po przywitaniu się mojim z nim, poprosił go, aby także usiadł i prosto mu daje do zrozumienia, mówiąc, że ja zapieram, abym coś mu mówił o spisku i t. p.

— Zresztą ks. dziekan przypomni sobie, może wmówiono w ks. dziekana, może być tak jak pan Lipiński powiada.

— Trudno, powiada, ja zeznałem prawdę, co on mi mówił.

Pan dyrektor mówi:

— Cóż pan na to?

— Panie dyrektorze, jak mi bolesno, iż muszę to powiedzieć, iż mój wuj będąc prawie jedną nogą w grobie, drugą na ziemi, może taką nieprawdę mówić w obliczu Boga i ludzi.

Powstał na to i mówił:

— Ty chłopcze, śmiesz mi to w oczy mówić?

Założywszy ręce na krzyż kazał go dyr. G. odprowadzić.

Kiedy odszedł, pan dyr. G. mówi do mnie:

— Przecież tak stary i godny kapłan kłamać nie może.

Odpowiedziałem, że żałuję, ale mu pomóc nie mogę.

Teraz weszliśmy na klucz do fortecy.

— Panie dyr., obwiniają mnie, że miałem do głównej bramy fortecy klucz doroobić. Z dyr. Dunkerem tę rzecz wyklarowałem, że to kłamstwo. Panu zaś dyr. oświadczyć to muszę, że gdybym miał należeć do spisku, nie potrzebowałbym klucza. Zapytaj pan wszystkich więźniów cywilnych i wojskowych, czy któremu wiadoma, że się brama bez klucza otworzy jak ta. To nie są zasuwki ściągnięte, tak aby się brama otworzyć nie mogła.

— Więc zrobię protokół i pošlę majorowi Prytwicowi.

— O nie, jeszcze jedno. W reducie Nr. 4 toż samo, tak iż jeżeli się więźniowie spostrzegą, to wszyscy 18tu wyjść mogą.

— I któż okuwał te bramy?

— Z Bydgoszczy ślósarz.

Zrobił protokół; podpisaliśmy go i posłał majorowi, który na drugi dzień zaraz kazał poprzerabiać, a więźniów z reduty 4tej poprzesać.

Co się tyczy inkwizycji dalszej, to wszyscy ci co mnie obwiniali, sami się poplątali, wyjąwszy tylko jednego, który nastawał na mnie, że byłem niebezpiecznym agentem przeciw rządowi pruskiemu; o którym dowiedziałem się dopiero w Berlinie

przed kamergerichtem, że to był Walenty Stefański, księgarz.

Posłano dyr. do Krakowa, bo mnie zarzucano znajomość z hr. Wiesiołowskim. Dostyć, że po 10 dniowych indagacjach odwieziono mnie do fortecy.

Pomijam inkwizycyją, która była interesująca, już to na osoby, już też ludzi co się mną zajmowali, kiedy dyr. G. był w Krakowie. I znowu nastąpiła pauza, lecz nie długo. Więzienie moje było takie, że gniły materace podemną. W Czerwcu palono jeszcze w piecu, a kiedy skarżyłem się przed Dunkerem, odpowiadał:

— Zgnij psie, nie masz litości na toba.

— O, ja mam czerstwe zdrowie i zniósę wszystko.

Naraz zaczyna się nowe śledztwo. To mnie wożą, to znowu zjeżdża dyr. Kaulfus i znowu od początku zaczyna mnie słuchać. Ja się pytam:

— Panie dyr., ile razy będę składał? już trzeci raz piszecie.

A pan dyr. mówi, że to znowu sądowne.

Ale to wyznać muszę, iż postępowanie tych sędziów ze mną było takie, że wszelki szacunek wzbudzali we mnie. A chociaż pan dyr. Kaulfus użył czasem swęj powagi i dotknął mnie, umiałem jego serce tak wzruszyć, iż pewnego razu powiedział, czy mu w nie zaglądałem, że wiem jego myśli.

Tu zachodziły przed nim całkiem no-

we sprawy, o których ani dyr. Dunker, ani dyr. G. nie wiedzieli. Lecz pomimo wyjeżdżania na komisyjną niczem mię obwinić nie można było. Jeszcze w roku 1847, w początku Stycznia, zaczęto mnie o ks. arcybiskupa Przyłuskiego, lecz wszystko na niczem się skończyło. Był to teraz ostatni koniec indagacyji. Zapytuję się więc:

— Panie dyr., teraz pewno uwolnionym będę?

— O nie. Prawda, że ci nic nie zrobią, panie Józefie, ale posiedzisz, bo szefprezydent twierdzi, żeś należał do spisku.

Już więzienia wypróżniały się, to puszczano na wolność, to do Sonenburga lub Berlina wywożono. Osamotniony prawie byłem w Rawełinie, aż tu 3 Lutego 47go r. rano o 7ej przychodzi dozórca, abym się zabrał, bo mam wyjechać.

Zabrałem się prędko i wychodzę. Na Akcencie, tj. poza Kernwerkiem stoi powóz, pocztylion i podoficer od huzarów. Siadamy trzej i wiozą mnie do fortecy. Na Kernwerku mieszkał inspektor; tu zastałem oficera od landwery, pana Neumana. Oświadcza poczciwy inspektor, że mam jechać do Berlina. Poprosiłem go, aby moje rzeczy pozostałe i bieliznę oddać kazał méj żonie. Dał mi na drogę tuzin cygar; pożegnałem się i wsiadłem do powozu z oficerem, a podoficer naprzeciw mnie.

Moja żona wiedząc, że wywożą więźniów

co dzień o 8ój rano, myślała, że i mnie zobaczy, lecz inaczej się stało.

Z fortecy skręciliśmy na prawo ku Urbanowu. Tu przejeżdżając przez bramę małej słuzy, widzę niejakiegoś Niemca Kluga, dozórce wałów, stojącego z żoną. Spojrzeli się na mnie, skiwnęli głowami i natychmiast posłał żonę, aby mojej żonie powiedziała, że mnie wywieźli ku Urbanowu. Lecz przy końcu fortecy jest droga na Jeżyce, tam skręciliśmy do szosy i pojechaliśmy do Gaju.

Tu pan Neuman, umiejąc dobrze po polsku, rozmawiał zemną cały czas; w Gaju kazał dać śniadanie i zapłacił talara 25 fen. i ruszyliśmy do Pniów. Tu był obiad; zapłacił za mnie, podoficera i siebie 3 talary. Wypiłem sobie i wina szklanke.

Po drodze powiadał mi, że ma na drogę 56 tal., że mam sobie nie żałować, bo są pieniądze na to. Podziękowałem mu za życzliwość.

— Lecz mam prośbę do pana porucznika.

— A jaką?

— Oto proszę pana, jak wrócisz do Poznania, podziękuj p. szefprezydentowi, że umiał uszanować moję osobę; a to, iż dał mi pana porucznika za adjutanta, a huzar jest ordynansem mojim.

Naśmiał się z tego, bo huzar nie rozumiał nic, cośmy mówili.

Przyjechałem do Moabitu 4. 2. 47go r. rano o 8mój; oddał mnie p. kapitanowi Gra-

bowskiemu. Musiałem się tu rozebrać do koszuli, pomimo, iż protestowałem, że jadę prosto z fortecy; nic nie pomogło, zrewidowano. Zabrali mi maszynkę do kawy i flaszkę z kawą i zaprowadzili mnie pod Nr. 3. Cella ta była przyszykowana dla mnie; z dwóch stron byli dozórcy. Opisywać jej nie będę.

Gdy drzwi zamknęły się za mną, usiadłem na stołku zwrócony do okna, lecz co moment ktoś zaglądał do mego we drzwiach okienka; ja się ani obejrzałem. Tak przesiedziałem z dwie godziny. Nareszcie nie słysząc nic, wstałem, aby się przypatrzeć tej mojej siedzibie.

Naraz słyszę pukanie niby pod ziemią; chodzę i słucham. Nareszcie przy drzwiach w kąciuku odsuwam franke i słyszę pukanie. Chwytam za rury, czuję że mocno gorące i zadrżało pukanie, więc odpuknąłem; słyszę głos:

— Kolego, kto jesteś?

Odpowiadam:

— A ty ktoś?

— Kaźmiérz Błociszewski.

— Zkąd się wzięłeś?

— Z Sonenburga.

— A dawniej gdzie byłeś?

— We fortecy Rawelinie 4, a Nr. 17.

— Kto siedział obok ciebie?

— Józef Lipiński, akademik, dzisiejszy proboszcz Wrzesiński, budowniczy Gabryelski, Frąckowiak i Dahlman.

Odpowiadam:

— Jestem Józef Lipiński.

Puka.

— Co chcesz?

— Donoszę dalej, Józef Lip. przywieziony rano o 8ej i siedzi Nr. 3.

Niedługo trwało, kiedy się pyta:

— Czy masz co, czy czego nie potrzebujesz?

— Wszystko mi zabrano.

Odzywa się dalej:

— Zawołaj dozórca Arendta, ten co tu u nas jest i powiedz, mu, aby poszedł pod Nr. 124, czy 5ty, a wszystkiego dostaniesz.

Dzwonię; dozórca wchodzi i pyta się, czego żądam. Prosiłem go, aby wszedł bliżej. Kiedy go proszę, aby mi szedł pod ów numer, że dostanę czego mi potrzeba, odpowiada:

— Panie, jak możesz coś takiego żądać?

Odpowiadam:

— Jeżeli pan nie możesz, nie rób z tego użytku. I odszedł.

Pomimo tego udał się pod ów numer. Dochodziło pół do 12stój, gdy wchodzi do méj celi i wszystko przynosi i przeprosza mnie, że mi odmówił, lecz ten graf mi kazał to wszystko zanieść. Tak tytułowane p. Mateusza Moszczeńskiego z Srebrnej Góry; a z nim siedział Adam Mieczkowski. Później, kiedy się rozeszła wiadomość po więźniach, pan hrabia Seweryn Mielżyński i inni panowie dostarczali mi wszystkiego do zbytku.

Teraz pomijam wszystko i zaczynam od inkwizycji.

W czwartéj sprawie pana Wł. Kosińskiego powołany zostałem przez tegoż obrońcę pana Krelingera za świadka. Prokurator Węcel pozwolił; chodziło o Dunkera, który świadczył przeciw panu Wł. Kosińskiemu.

Zapytany przez prezydenta w oczach Dunkera, co mówił do mnie, co mi obiecywał w indagacyji, wypierał się wszystkiego. Prezes pyta, co ja na to. Prosiłem, aby mój protokół odczytany został z dnia 25. 11. 46.

Wzięto moje akta.

— Prezes pyta:

— Czy cały?

— Nie! koniec.

Odczytał więc tłumacz Jeżewski koniec. Co się tyczy króla, wszystko mu powtórzyłem w oczy. Prezydent pyta Dunkera:

— Jeżeliś pan nic do Lipińskiego nie mówił, a protokół składał się z pytań i odpowiedzi, z kąd pochodzi Lipińskiego odpowiedź przy końcu zeznania.

Dunker odpowiada:

— Była to jego fantazyja i napisałem.

— Więc wykonasz pan przysięgę.

— Biorę na moje służbową.

Prezydent mówi:

— Pan musi przysiąc.

Skiwnął na nas, ja odstąpił. Dunker przysiągł.

Na drugi dzień kapitan wchodzi do méj celi i powiada:

— Widzisz pan, Dunker złożony z u-

rzędu, sędziowie i prokurator przekonani, że krzywo przysięgł i skompromitował króla.

Pod ten czas na galeryji można było widzieć jenerałów i ministrów.

Opuszczam to wszystko i idę do méj sprawy. Wuj mój odwołał i został uwolniony. Przeciw mnie wystąpił Stefański; w oczy mi powiedział o tém co wyżej pisałem.

— Odpowiedziałem, że ja pracowałem i nie mógłem żadnej agentury prowadzić; lecz on, jako księgarz, prędzój się tém trudnił. To mu wyszło na złe wszystko.

Co się tyczy Emila Moszczeńskiego, zapytał prezydent prokuratora, czy ma go jako świadka powołać; prokurator odpowiedział, że on nie wart, aby mi w oczy stanął. Taką więc odebrał nagrodę. Prokurator uzasadniając skargę przeciw mnie, wyrzekł te słowa:

— Hoher Gerichtshof, wenn ich soll sprechen von dem Gefangenen, der hier jetzt vor dem hohen Gerichtshof stand, nach seiner Aussage, so muesste ich sagen, dass er der unschuldigste ist unter allen Gefangenen, aber so schlecht wie er aussieht, besitzt er einen natuerlichen Verstand, nehmen Sie seine Akten in die Haende, wie er vorsichtig war, so war er vorsichtig in der Verschwoerung itd. gadał. Wniósł zaś pod toporek.

Kiedy nastąpiły wyroki 2 Grudnia 47go r., sąd skazał mnie na 3 lat do domu poprawy, za to, że musiałem wiedzieć.

Józef Lipiński.

Żona dowiedziawszy się 3. 12go o tym wyroku, na dzień 7go .2go przez asesora Hercberga odesłała dowody mego urodzenia do sądu i natychmiast zawołany zostałem. Zapytano się mnie, czy jestem szlacheckiego urodzenia.

Nie wiedziałem o niczym, z kąd pytanie, bo list pisałem 6. 12go do żony, a ten leżał na stole, że może będę potrzebował dowodów, ale spojrzawszy, ujrzałem moją metrykę i jakieś papiéry. Odpowiadam.

— Tak jest!

Czy pisałem o to do żony? Odpowiadam:

— List mój tu leży.

— Czemuś pan w czasie inkwizycji nie mówił tego?

— Jestem Polakiem i nie używałem tego i nikt mnie się o to nie pytał.

Więc sędzia czyli Dyr. powiada, że wyrok zostanie zniesionym z cuchthausu na fortecę. I skończyłem.

Dnia 18. na 19ty 48go r. o pół do 5tej wybuchła rewolucja. Była to Sobota, W Poniedziałek zgromadził się lud i otworzono więzienia i w tryumfie z chorągwią białą i pasową i niemiecką zaprowadzono nas przed pałac królewski i tu nas król przywitał z balkonu.

Dnia 22. 3. udałem się do Poznania pocztą i jeszcze z dwoma spotkałem się więźniami. Odjeżdżając pod Poznań, zatrzymano pocztę; przed Jeżycami jeszcze daleko była bryczka. Wsadzono mnie do niej, od-

przagnięto konie i z takim tryumfalnym pochodem, z wielu chorągwiami ciągnięto przed ratusz. Toż samo i tych dwóch więźniów; koron tyle mi na głowę włożono, że musiałem je we wózek składać.

Tu w Komitecie oznajmiłem ś. p. hr. Potworowskiemu, co zaszło w Berlinie, że król dał rozkaz zorganizować Księztwo, a p. Mierosławski wysłał mnie z śp. Dr. Libeltem, abym to oznajmił. Z ratusza poszedłem z wielkim tryumfem jeszcze z moją żoną i dziećmi do domu, aby ich wszystkich uściskać.

Wiadoma o tém, że miała być reorganizacja Księztwa. Już do domu wszystko popowracało, a ja się jeszcze w Poznaniu zatrzymywałem i robiłem, co mi z Komitetu nakazano. Już i generał Mierosławski był w Miłosławiu, a ja w przeddzień konwencji Jarosławieckiej musiałem się wynieść, aby mnie policja nie wzięła w swoją opiekę. Pojechałem więc do Miłosławia i co było potrzeba, kazałem robić dla naszej obrony.

Mieszkałem w pałacu u śp. hr. Seweryna M. Tu przyjechała żona moja z trojgiem dzieci, lecz po paru dniach zamierzałem ją z dziećmi, **zawieźć do Benic, do wuja mego i siostry,** gdyż tu nie podobna było aby została. Wziąłem więc pozwolenie od Naczelnika i we Wielką Sobotę puściłem się pod Krotoszyn. Konie miałem z Miłosławia do Jarocina. W Jarocinie miałem dostać od p. hr. Radolińskiego; udałem

się do tegoż, a że już późno było, zatrzymał mnie na kolacyji.

Już konie były przygotowane, kiedy służący wpada do pokoju i powiada hrabiemu, iż wojsko pruskie napadło po rezurekcycji lud i jest rzeź w Koźminie. To téż kazał wyprządz i w pierwsze święto miałem wyjechać, a nieznałem innéj drogi jak przez Koźmin. Dojeżdżając do wsi, pod Wąłkowem, już nam na probostwie pokazywano trzy trupy zamordowanych.

Gdy dojechałem do Koźmina, pikiet i dwóch ułanów zatrzymali nas. Zjawia się oficer i pyta, gdzie jadę?

— Pod Krotoszyn, do krewnych.

— Zkąd?

— Z Jarocina

— Czy są w Jarocinie kosyniery?

— Są.

— Dużo?

— Bardzo, i dla tego nie chcę się narażać i wyjeżdżam z żoną i dziećmi, ale przez miasto jechać nie można. Proszę pana porucznika, czybyś nie był łaskaw i kazał nas przeprowadzić po za miastem.

Nakazał ułanowi, abyśmy przeprowadzeni byli boczną ulicą nad stawem. Tu jeszcze w ulicach zbroczone krwią kamienie były. Dojechaliśmy do młyna, tu ułan oddał nas piechocie i wyprowadzono nas na szosę krotoszyńską. Każdemu z nich dałem po złotówce, a że powiedzieli, iż z Krotoszy-na ma przyjść oddział wojska, to téż udałem się w prawo na Wygodę, aby się z nimi nie spotkać.

Przybyłem więc do wuja; nie widziałem ani jego, ani siostry od 45go r. Spodziewałem się miłego przyjęcia, aż tu ksiądz:

— Po coś przyjechał, Prusacy lada moment nadejdą i dla ciebie i nas pomordują.

Nie chciał nawet dzieci zatrzymać. Zjadłem małe śniadanie. Zostawiwszy żonę z córeczką 8 letnią, bo tę zatrzymali, wiedząc, że moja żona posiadała język niemiecki i przytém energiją, ja sam z dwoma synkami jeden 10, drugi 11 lat liczący, wyjechaliśmy, lecz już nie na Koźmin, tylko na Rozrarezew, aby ominąć Prusaków.

Tu ks. proboszcz przyjął mnie z dziećmi i nocowaliśmy. Dopiero w Poniedziałek ku wieczorowi stanąłem w Jarocinie. Hrabia już sądził, że zginąłem razem z końmi i człowiekiem. Przenocowawszy się w pałacu, we Wtorek stanąłem w Miłosławiu; z dziećmi miałem tu wszelką wygodę.

Wiadoma, że przed bitwą w miłosławiu ktoś zapalił dom rządcy miłosławskiego na folwarku; będąc tam, zacząłem broń sikawką, aby się nie zajęła kancelaryja hrabiego. Już byliśmy pewni, że ogień się nie rozszerzy, gdy słyszę strzał armatni i wojska pruskie nacierać zaczęły. Śp. pani hrabina wyjeżdża z pałacu, a przejeżdżając woła na mnie, abym dał jój dzieci, które wzięła do Chrustowa.

Opisywać nie mam dalej potrzeby, jak to, że trzeciego dnia wychodziliśmy do Wrześni i tu była walka; potem na Gembice

do Mogilna i znowu nazad, aż do Grabowa pod Miłosław. Tu mnie zawołać kazał śp. Mierosławski i odezwał się do mnie:

— Słuchaj, bracie, została zawarta konwencyja i każdy może wracać do domu.

— Więc mamy się rozchodzić?

— Tak.

— Czy mamy zabezpieczony powrót? Czy dla nas coś zrobiono?

— Tak, oświadczył pułkownik Brzeżański.

— O zawartéj konwencyji więc przeczuwałem, mówiąc do pana: w Berlinie 256 nas było we więzieniu, dziś wszyscy.

— Wiém, żeś bez pieniędzy, oto masz 10 tal.

Pożegnałem się i odszedłem. Kiedy przyszliśmy do Miłosławia, pojechałem po moich chłopców i zabrałem ich do Czarnego Piątkowa. Tu ztąd wszystko na dobre z rozpaczą się rozchodziło. Ja mając wózek, wziąłem mych chłopców i puściłem się w drogę, a na forszpana nawinał mi się młody koszy-
nier, który jeszcze kulę szpiczastą miał w szyji. Stanął także przedemną Marcin Bendowski, służący majora Wronieckiego i prosił mnie, abym go zabrał.

Perswaduję mu, że może nieszczęście go spotkać, wie, jak Prusacy na mnie zagniewani, lecz nie dał się przekonać i zabrałem go z sobą.

Przez Środę jadąc, miałem w myśli zawieźć dzieci do Tulc, do rządzcy tamtejszego p. Mojzykiewicza, aby moje dzieci mogły

pójść do gimnazyjum, ponieważ 10go Maja miały się rozpocząć szkoły, a to był 9ty Maj.

Nie przypuszczając, abym mógł natrafić na wojska pruskie, jechaliśmy wolno, bo śpiąc w Czarném Piątkowie pod gołym niebem, musiałem dzieci moje obtulać na wózku, aby się nie przeziębyły; znużeni wszyscy, drzymaliśmy. Kiedy podjechaliśmy pod Tulce, dwóch huzarów na pikiecie zawołało:

— Halt werda! i pod tym konwojem zawieziono mnie przed pałac.

Tu wyszedł rotmistrz wraz z rządcą, który mnie przywitał i prosił rotmistrza, abym się z dziećmi mógł posilić. Zasiadliśmy wszyscy do śniadania, podczas którego rotmistrz zapytuje się mnie o nazwisko. Powiedziałem. Zamyślił się a potem pyta, czy siedziałem w Berlinie.

— Tak.

Rozśmiał się i mówił:

— Erster Fang, aber gut.

Zakomenderował czterech huzarów i jednego za forszpana. Napisał do komendującego jenerała i pojechaliśmy ku Poznaniowi. Lecz tego nie przewidywałem, abym tyle doznał nieszczęścia. Jak się tylko mój wózek pokazał za mostem, tak na Szérokiéj ulicy zebrały się tłumy żydów i Niemców, krzyząc:

— Schlagt den polnischen König tot!

Bito kijami, plwano, rzucano błotem i kamieniami, a im daléj do Rynku, tym gorzéj. Huzary, zamiast bronić, pozwolili ro-

bić téj czeredzie co chciała. Wieziono mnie w pas przywiązanego do wózka, mój forszpan i Marcin Bendowski mieli ręce w tył skrepowane; dzieci moje przy nogach siedziały. Wieziono mnie tak jak na śmierć, wolno, a coraz więcej żydów i Niemców zappełniało ulicę teraz Nową. Piasek i kamienie warczały nad głową.

Mając kufereczek z bielizną i bojąc się o dzieci, gdy ta czereda nacierała, podniosłem go i zamierzyłem się, a tym sposobem ani jeden kij, ani jeden kamień nie trafił mnie, ani moich dzieci; pomimo iż huzary grozili mi, wołałem:

— Zakażcie żydom i Niemcom!

Widocznie ręka Boża czuwała nad nami. Zajechawszy bowiem przed jenerała komenderującego, rzuciła się znowu ta tłuszcza na mnie i dzieci. Tu Niemiec, jak mi mówiono, radzca regencyji, skoczył na wózek i wołał na tę zgraję:

— Ludzie, co chcecie, jeżeli zawinił, to go kara spotka, ale wy nie macie prawa do zamordowania go.

Wprowadzono mnie w podwórze. Zjawił się Hojer, sekretarz p. Minutolego i krótki protokół ze mną zrobił w stancyji stangreta jenerała, w podwórzu. Opowiedziałem com robił, i gdzie byłem i odszedł. Schodzę ze schodów i zastaję w podwórzu całą świtę wyższych oficerów wraz z jenerałem Colombem.

Biorą mnie w środek i pytają, gdzie byłem i com robił.

Opowiedziałem wszystko.

Pytał się, z kąd mieliśmy kule.

Odpowiedziałem:

— Kul nie mieliśmy, tylko ciężarkami strzelaliśmy.

— Z kąd kartacze?

— Tego nie znam, bo w wojsku nie służyłem.

Pyta:

— Te małe kule do armat?

— Te kazałem ciąć z okrągłego żelaza.

Po rozmajitych pytaniach mówił:

— Czy to wdzięczność, żeś został ułaskawiony przez N. Pana i poszedłeś przeciw rządowi walczyć?

— Niepotrzebowałem amnestyi, bo byłem niewinny, a jeżeli poszedłem, gdzie były kadry nasze, wierząc w to, co N. P. Król powiedział, to poszedłem, gdzie miałem obowiązek.

— Der Kerl muss kriegen binneu 24 Stunden Kugel vor Kopf.

W tém słyszę płacz i wołanie.

— O mój Boże!

Spoglądam i widzę moich chłopców pod remizą. Żal mi serce ścisnął, lecz już zwątpiłem i myślałem: teraz się zemszczą nademną.

Tu przybywa generał Vater Steinecker, któremu komenderujący powiada, co ze mną zrobią.

Vater Steinecker miłosierniejszym się pokazał, mówiąc:

— Ekscelencyjo, trzeba mu dać przynaj-

mniej 3 dni czasu i przesłuchać całe zbrodnie, które popełnił.

Kończąc to, przyjechał konno generał pacyfikator Pful i ten w imieniu króla zawiesił na 2 tygodnie tę sprawę, aby wprzód mnie wysłuchać.

Podczas téj tragedyi ze mną, odbywała się druga; moja żona usłyszawszy, że mnie z dziećmi przywieźli, chciała iść do generała, ale jak ta czereda zobaczyła ją, zaczęła bić i krzyczeć. Przecięto jój głowę przez kapelusz i tylko przy pomocy śp. Sobieckiego, który miał handel sukna w Bazarze, udało się wyrwać ją z ręki téj duszczy i wciągnąć do handlu zamknąwszy, i tak uszła większego pastwienia się.

Wracam teraz do sprawy, co się dzieje ze mną. Dzieci odesłano do domu, mnie związano nogi tak, że ledwie mogłem posunąć jedną przy drugiej, ręce skrepowano w tył przy łokciach i złożono mnie na kupie kamieni z bruku, w téj remizie na lewo, która jeszcze dziś stoi.

— Tu postawiono 2 Pomrów z nabitą bronią. Żydzi, Niemcy przychodzili, pluli, kopali i piaskiem sypali na mnie i tak cały czas trwało. Koło kwadrans na 4tą przywieziono mnie.

W tém żołnierze podnoszą mnie i każą mi wyjść z remizy; posuwam nogi i stanąłem przed schodami przy remizie; tu mówią:

— Ty, coś taki przebiegły, pokaż swój kunszt i wnidź na górę.

Stoję, bo jak? uderzył mnie jeden w

bok, potoczyłem się na drugiego i padłem w znak. Bogu mam do zawdzięczenia, że mi się głowa nie rozbiła.

Działo się to w oczach generała komindeującego Colomba. Podnieśli mnie, odwiązali jedną nogę, a chwytając za sznur, popędzali wkoło podwórza.

Kiedym spojrzał po za siebie, to pomimo nieszczęścia, w duchu śmiech mnie pobierał, bo wyglądało to tak, jak gdy wieprzka na targ pędzą.

Związali nazad, złożyli na kamieniach i toż samo się działo co wprzód, a nikt nie zakazywał tego prześladowania żydom i Niemcom.

Ku wieczorowi wszedł do remizy kupiec żyd Busch, mający handel obok Biblioteki Raczyńskiego, a pełno było tej zgraji.

Mówi do mnie, bo znał mnie dobrze:

— Panie L., wie pan, co o panu mówią i obwiniają?

— Nie wiem.

— Oto powiadają, że pan zabiłeś mego ojca i drugiego żyda na kórnickim trakcie; lecz to być nie może, ja pana znam, to kłamstwo. Toż samo powtórzyła „Posenerka“. Nie, nie, nie! nie wierzę. I poszedł, lecz tłuszcza nie ustępowała.

Już prawie zmięrczać się zaczęło, gdy wszedł generał Dr. Ordelin, wziął mnie za rękę, pomacał puls i poszedł. Wkrótce wraca; sam mi powrozek zluzował, abym miał wolniejsze ręce, zawsze leżąc wznak na ka-

mieniach, i tak mi dokuczano i prześladowano.

Bogiem się świadczę, że sądziłem, iż mnie zamordują. Sługa stojący 8go pułku bierze bagnet, przyciska mi broń na pierś, drugi odzywa się:

— Patrz, jak on na ciebie patrzy.

Odejmuje bagnet i mówi:

— Ja cię nie przebiję, bo i tak cię kuła czeka.

Takie to prześladowanie, takie na jgranie trwało do zmięzchu.

Był to 9ty Maj 48 r. Zmęczony, znużony zdrzymnąłem się na kamieniach. Już było pół do 11tej w nocy, gdy naraz powóz zaturkotał w podwórzu. Zbudziłem się, słyszę szcęk pałaszy i w tém wszedł komisarz Kliem z żandarmem i mówi:

— Wstań pan!

— Nie mogę.

Rozkazał żandarmowi, aby mi nogi rozwiązał; wyszedłem. Wsiadliśmy troje do powozu, czterech huzarów obok nas konno i tak jechaliśmy przez plac Działowy do Kernwerku; ręce miałem związane.

Pan Kliem poszedł zameldować komendantowi fortecy Helendorfowi. Mnie zostawił na dziedzińcu z żandarmem. Nim wrócił, ile to mnie żołnierze naszturchali, nazywali i to jeszcze giftmiszerem; mówili, że chciałem ich wytruć, bo taką bajkę powtarzał i Dunker. Prosiłem więc Boga, abym się z ich rąk wy dostał.

Kliem zaprowadził mnie do tego ganku,

który prowadzi z fortecy na wielką śluzę. Tu widzę odwach i wepchnięto mnie do niego, lecz wiadoma, że znałem fortecę.

Gdy kilka kroków uszedłem, napotkałem na nogi ludzkie; trzymając się lewego muru, gdzie są szyszaty, patrzyłem macając, czy gdzie nie masz próżnej framugi. Idąc coraz dalej, znalazłem jedną próżną. Wyciągnąłem barłóg z pod nóg leżących i potrząsałem nim cegły i na tych prawie gołych ceglach spocząłem.

W dwa dni potem do tegoż ganku sprowadzono śp. adwokata Krauthofera Jakóba; miał on na ręce i nodze łańcuszek zamknięty na kłódkę i przeklinał, jakim prawem mogą to robić. Perswadowałem mu, że się postaram o gwóźdź i otworzymy kłódkę, aby mógł spać.

Przyjąłem go do mej framugi, lecz tylko trzy dni był ze mną i czy mu zaś zaraz zdjęto te łańcuszki, nie wiem.

W parę dni, będąc w ganku, ku środkowi, słyszę od bramy wołanie naszego ludu wiejskiego:

— Żyd! żyd!

Obracam się i widzę postępującego coraz dalej w ganek człowieka, a nasi się gapią i wołają:

— Żyd!

Wracam naprzeciw idącemu; kiedy stanąłem o trzy kroki, zawołałem:

— Doktorze, jak się masz?

Rzucił mi się na szyję z płaczem.

— Ach, jak szczęśliwy jestem, że

ciebie spotykam! Patrz, bracie, co ze mną zrobili.

Poraniony i krwią obłany stał przede mną i pokazał mi swój kuferek z bielizną pokrwawioną.

— Oto w tym murku będziemy obaj spali.

Widząc to współwięźniowie, że się tak ścikaliliśmy obaj, ucichli.

Był to Dr. Mosse z Grodziska, lecz tylko parę dni. Aby mu dokuczyć, wysłano go do Kistrzyna pieszo. Wiadoma, jakie przechodzili ci ludzie koleje.

Mając wychodzić, dał mi kartkę do swój żony, abym jego kuferek odesłał do méj żony, która miała go przez ludzi pana Bibrowicza odesłać do Grodziska. Przez żołnierza posłałem go wraz z kluczykiem.

— Lecz cóż się dzieje; oto po odebraniu kufereka wpada policyja do méj żony, zabiera kuferek, mówiąc, że to po tych zabitych dwóch żydach. Moja żona nie chce pozwolić, lecz ulegając przemocy, poszła na policyję mając kartkę i kluczyk.

Przejrzeli i wtenczas kazali méj żonie odebrać; lecz powstała na to, mówiąc.

— Jeżeliście wzięli, to odesłajcie.

I tak wzięli człowieka i odesłali, mnie zaś przenieśli do ganku na małej służbie.

Wiadoma, że wypuszczając więźniów, piętnowano ich, a potem wzięli się na sposób inny, wyrzynając trójkąty na głowie. Otóż ranżerowali nas jak konie.

Stanęliśmy w szeregach, i tak, który się

audytorowi spodobał, został przeprowadzony po za linią żołnierzy. Tu byli balbierze, zczeszali włosy i nad czołem wystrzygli trójkąt i puścili.

Dosyć, że i mnie wyranżerowano. Biédny nasz chłopek aż płakał prawie, jak im wyrzynano, a ja ich pocieszałem, mówiąc:

— Czego płaczesz, czy cię tym hańbią? Oto idźcie z gołą głową i pokazujcie tę hańbę tych co to robią.

I ja czekałem na owę sznypę. Więźniowie wołali:

— Królu, nie opuszczaj nas.

Ja odpowiedziałem:

— Jak powiem mu moje nazwisko, to sam mnie cofnie. Prawdziwie, cieszył bym się był, żeby mi byli wycięli ten trójkąt.

Kiedy przyszła kolej na mnie, zapytuje się o nazwisko. Powiedziałem.

Bierze mnie za ramię i cofa za ów kordon do moich kolegów, którzy schwytali mnie za szyję, a audytor przypatrując się, uśmiechał się, że muie tak przyjmują.

Nadszedł już koniec Czerwca; córka moja mając lat 8, codzień przychodziła do mnie rano, bawiąc do 11tej przed południem. Tak samo Jackowska, z kobieta, która miała kawę na sprzedaż, wchodziła do fossy i przynosiła mi wszelkie wiadomości, co się dzieje w mieście.

Było to 30go Czerwca, napisałem jej kartkę do żony, mówiąc:

Niech matuchna idzie tam, gdzie wskazuje kartka, a jutro, moja Maryniu, przynieś

mi odpowiedź.

Odebrawszy żona kartkę, udała się do śp. sędziego kryminalnego Tiehla i zapytuje go:

— Jak stoi z mojim mężem?

Pan sędzia pyta:

— Czy jeszcze siedzi?

— Tak!

Więc udaj się pani do pułkownika Hendorfa, aby go wypuścił, ponieważ my po przejrzeniu akt zadekretowaliśmy, iż sąd kryminalny przyjąć go nie może i wnosi o uwolnienie.

1go Lipca, tj. na drugi dzień, oczekiwałem uwolnienia, bo co zaszło, już wiedziałem. Żona moja przyjechała z powozem po mnie i poszła do komendanta, a ten jej kazał odjechać, mówiąc, że mnie nie wypuści.

Po południu zakomenderowano dwóch żołnierzy i transportowano mnie na policyję. Kiedy mnie wprowadzono, zapytano: czego chcę.

Wskazałem na żołnierzy, i kazano im wrócić, a ja mogę iść do domu.

Późniejsze zdarzenia pozostawiam.

J. Lipiński.

Jeżeli ktoś pragnie przekonać się o tém postępowaniu wtenczas władzy, niech weźmie do ręki broszurę wydaną w Berlinie (Zur Beurtheilung der Polnischen Frage im Grossherzogtum Posen. 1848).